

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

1
2012

INDONEZJA

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:
Mazurek, Rosiak

str. 54 Robert Czulda
IRAK

str. 96 Piotr Trybalski
MALI

str. 106 Łukasz Czabanowski
ROSJA

ZABIĆ ORKE

str. 16



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614209 01



Hestia Podróże

Pakiet ubezpieczeń
na czas podróży

Infolinia: 801 107 107

Oplata za połączenie zgodna z cennikiem operatora

www.ergohestia.pl

ERGO
HESTIA®



Irak str. 54



Indonezja str. 16



Polska str. 78



Mali str. 96



Rosja str. 106

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4**KONIEC WIELKIEGO TREKU** str. 12Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego****ZABIĆ ORKĘ** str. 16Na jednej z wysepek Archipelagu Malajskiego rybacy od wieków stosują na wielorybach morderczy preceder, często ku uciesze turystów. **Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak****MAZUREK NA WYNOS** str. 26Felieton **Roberta Mazurka****THE NOTTING HILL CARNIVAL** str. 28Brytyjczycy nie muszą zazdrościć Brazylijczykom karnawału. W jednej z londyńskich dzielnic Londynu rokrocznie odbywają się parady uliczne w karaibskim stylu. **Anna Bunikowska****GEOSKOP** str. 36**NAVIGATOR** str. 40**KAMYKI Z KRETY** str. 44Czasami warto w życiu wycofać się na tyły świata, w stronę pułapki zwanej „pięknym widokiem na bezkres”. **Józef Baran****NOWY ŚWIT NAD EUFRATEM** str. 54Lada moment amerykańskie wojsko wycofa się z Iraku. To ostatnie spojrzenie na rzeczywistość, która dominowała tu przez ostatnie dziesięć lat. **Robert Czulda****MIASTO-POMNIK PAŃSTWOWOŚCI** str. 62Monumentalno-socrealistyczną stolicę Stanów Zjednoczonych trzeba bezwzględnie odwiedzić. **Robert Szewczyk****PSYCHOAKTYWNY ESCOBAR** str. 70Dwie dekady temu kolumbijskie Medellín było stolicą przestępczości. Jak bardzo zmieniła się narkotykowa kolebka? **Sebastian Szade****POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI** str. 77Rozmowa z **Elżbietą Zającówną****HISTORIA ZNIKANIA** str. 78Po miasteczku nieopodal Jeleniej Góry, które przed wiekami było kopalnianym zagłębieniem, pozostało tylko kilka domów. **Filip Springer****STASIO NA MADAGASKAR** str. 86Afryka widziana oczami siedmiolatka. **Jarosław Szczepankiewicz****TAM, TAM I INNE KIERUNKI...** str. 94Felieton **Dariusza Rosiaka****MUZYCZNA OAZA** str. 96Każdego roku na Festiwal Pustyni zjeżdżają tłumnie w sam środek zachodniej Sahary na swoich wielbłądach Tuaregowie. **Piotr Trybalski****PORTRETY PLEMION** str. 104Fotografie **Williamy Gagnadoux****URAL PONAD WSZYSTKO** str. 106Ural subpolarny kusi wielu bezludną przestrzenią, dziewiczą przyrodą i smakiem nieznanego. **Łukasz Czabanowski****Z PERSPEKTYWY** str. 114Felieton **Ryszarda Badowskiego****OUTDOOR** str. 116**POLSKA, KTÓREJ NIE MA** str. 120NA OKŁADCE:
ofiara wielorybni-
ków z Indonezji





Ryszard Stawowy

USA

A przed nimi bieży baranek

Park Narodowy Arches położony jest na wyżynie Kolorado, we wschodniej części stanu Utah. Zajmuje obszar 300 kilometrów kwadratowych i został założony, by chronić formy skalne. Niektóre ostańce przybierają kształt smukłych wież o niezwykle fantastycznych kształtach. Nierzadko bywają przez obserwatorów kojarzone z kobietami.

Na zdjęciu od lewej: Plotkary, pośrodku Baranek Wielkanocny, a z prawej Wieża Sądu.

Ewelina Lochman

JORDANIA O krok od olśnienia

Do Petry będącej jednym z głównych atrakcji turystycznych Jordanii prowadzi wąż As-Sik. U kresu wędrówki klaustrofobicznie wąską ścieżką czekają majestatyczne ruiny starożytnego miasta Nabatejczyków z olśniewającym „Skarbem Faraona”.



Paweł Szkurłat

SYRIA

Pamięć żółwia

W tle ruiny miasta w północno-zachodniej Syrii opuszczonego prawie półtora tysiąca lat temu. Na pierwszym planie żółw, którego pamięć nie sięga aż tak daleko.



Marcin Wesoły

DOMINIKANA

Żar intelektualnych dyskusji

Bar „La Cafetera” w Santo Domingo to miejsce spotkań lokalnej bohemy. Liczy sobie osiemdziesiąt lat. Dzisiejsza klientela stanowczo dużo mniej. Niegdyś było to miejsce potajemnych spotkań przeciwników dyktatury Rafaela Trujillo.



Andrzej Wójcik

PORTUGALIA

Konformista

Wpływ na zmianę koloru skóry kameleona mają głównie: stan emocjonalny i fizyczny, temperatura oraz natężenie światła. Zmiana koloru ciała jest również formą komunikacji z innymi osobnikami. Widoczny na zdjęciu kameleon zastanawia się jeszcze, który z kolorów otoczenia przybrać i co przez to wyrazić.



Stanisław Ługowski

POLSKA

Nasza chata z kraja

Ta kryta strzechą i malowana wapnem z dodatkiem ultramaryny chata stoi ledwie kilkanaście kilometrów od centrum Krakowa, we wsi Modlniczka. Pochodzi z 1801 roku i nadal jest zamieszkana. Czy da początek skansenowi?



Michał Kozok

AUSTRALIA Cwana bestia

Do rzek i mórz w północnej części australijskiego Queensland lepiej nie wchodzić. Może się tam czaić zamaskowany drapieżnik. Krokodyl różańcowy to największy z żyjących gadów, który może osiągać nawet 7 metrów długości. Badania udowodniły, że zwierzęta te są bardziej inteligentne niż szczury.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



KONIEC WIELKIEGO TREKU

Wojciech Albiński



W Johannesburgu gangsterzy mają miękkie serca. W jednym wypadku człowiek ocalał, gdyż ten, który miał go zastrzelić był w jego wieku. W drugim, bo ofiara nie wychowała jeszcze trojga posiadanych dzieci. Ale nie we wszystkich przypadkach można liczyć, że tsotsi nie zdrżę ręka albo nie chwyci go nagła złość. Albert wiedział o tym i dlatego unikał krążeń po południowych dzielnicach, a także po Soweto. Zwłaszcza z wyrazem twarzy

człowieka zagubionego i szukającego drogi lub przyjeżdżającego z wielką regularnością w to samo miejsce.

Godzina wystarczała mu na przecięcie miasta z Sandton do Soweto, tam wtapiał się w siatkę pomniejszych dróg, które doprowadzały go na południową stronę location. Nie miał czasu, aby przyglądać się życiu Soweto, oceniać jego rozplanowanie czy architekturę. Zostawiał to grupie madalas, którzy obserwowali miasto.

Rozłożeni na ławkach i na zardzewiałych fotelach widzieli, jak życie się toczyło, znawcy języków zulu, tswana, xhosa i fanagalo, umieli porozumieć się z obcymi. Siedzieli przed domami, odpoczywali. Była to nowa część Soweto, już granicząca z farmami, wnętrza mieszkań zasłonięte tiulami, okna zabezpieczone kratami.

Dotarli do skrzyżowania trzech dróg terenowych. Dwie z nich okrężyły Soweto, trzecia prowadziła w głąb prywatnej farmy. Rozciągała się przed nimi wielka, żółta równina. Wejście zagrodzone było drucianą futką. Wyszli z wozu, żeby zlustrować teren. Banana, Zulu głęboko zanurzony w plemiennych obyczajach, jeździł z Albertem od niedawna. Kenneth, na stałe mieszkający w Soweto, także Zulu, pracował z nim od wielu lat.

Brama wjazdowa na farmę zamknięta była na drucianą pętlę. Kenneth zdjął ją i odczekał, aż wóz przejedzie i zatrzyma się po drugiej stronie. Wielokilometrową prostą linię ogrodzenia stanowiły trzy zardzewiałe druty zawieszane na wbitych w ziemię szynach kolejki wąskotorowej.

Ruszyli w głąb veldu. Ten ład oparł się wszelkim przemianom od czasów Wielkiego Treku, ale teraz napierało na niego Soweto.

Droga oddalała się od granicy i prowadziła w kierunku zabudowań gospodarczych. Obory i magazyny stały samotnie na pustym polu. Zbudowane były z szarych cegieł żuźlowych, jako dach służyły płyty eternitowe.

Spostrzegli robotnika w zielonym drelichu. Zamykał drewniane wrota na kłódkę.

Zbliżyli się do niego, upewnili, czy to właściwa droga.

– *Ja, baas...* – zwrócił się do Alberta trochę zaniepokojony.

– *A czy baas jest w domu?* – zapytał go Kenneth.

– *Ja, baas... W domu...*

Ujechali jeszcze pół mili. Droga była rozjeżdżona i piaszczysta. Ominęli kilka wielkich otoczaków. W cieniu starych drzew ukazała się farma.

Przed głównym budynkiem mieszkalnym na postumencie stało koło od wozu. Zdjęte z osi, postawiono je przed starym domem, jako symbol końca wędrówki. Znak, że farmerska rodzina dotarła w to miejsce w czasie Wielkiego Treku i przyrzekła sobie już dalej nigdzie nie wędrować. Przyszedł czas na sianie lucerny, koszenie trawy i na objęcie tej ziemi w wieczne posiadanie.

Farmer nazywał się Vic Kruger, wyszedł na ich spotkanie, uściśnęli sobie z Albertem dłonie. Farmer mówił z mocnym afrykanerskim akcentem, wtrącał wiele miejscowych słów. Ubrany był podobnie do Alberta, w żółtą koszulę i spodnie khaki.

Wspomnieli cel wizyty Alberta na farmie, to było najważniejsze. Soweto potrzebuje przestrzeni, buduje się setki domków dla czarnej ludności. Program konstrukcyjny opracowany przez West Rand Administration Board

dotarł do granic farmy Krugera. Często niszczone mu zasiewy, po wysuszonych trawach zostawał czarny, spopielony ślad. Upierać się, to wejść i zabiorą ziemię sami. Niech przyjeżdża geometra i tnie. Farmer nie taił swoich sentymentów. Rozpacz sprzedawca po kawałku... To rozpacz rozłożona na raty.

– *Przyjdą bliżej, niebezpieczeństwo za płotem* – narzekał Kruger. – *Jak upilnować lucerny, a nawet bydła i maszyn? Niemożliwe. W końcu budynek farmy, jego własny dom, spadek po rodzinie Krugerów przestanie być spokojnym bastionem. Wedrą się i tu.*

Gorzka to była wiedza, z jaką mówił farmer. Dopóki podoła, będzie się bronił, ale później?

– *I zgodził się pan? Podpisał zrzeczenie tej części farmy, która ma być sprzedana?*

Farmer pokiwał smutnie głową.

Ruszyli na objazd ziemi, która ma być od farmy odcięta. Kamienie graniczne będą musiały mieć swoje współrzędne matematyczne, a tu teren był wyjątkowo płaski. Jak się doszukać punktów triangulacyjnych, na których pomiar farmy powinien być oparty? Ale to było już zmartwieniem Alberta.

Kenneth i Banana usiedli z tyłu wozu, farmer poczuł się śmieiej.

Mógł mówić do innego białego co tylko chciał. Albert unikał drażliwych dyskusji, zgadzał się tylko z jednym: rozrodczość. To rozrodczość spowodowała, że Soweto trzeba było ciągle powiększać, budować nowe domy, odcinać ziemię po kawałku i przeznaczać ją dla czarnej populacji.

Albert rozłożył mapy na masce land rovera, dokładnie wyznaczył ołówkiem przyszłe granice. Okazało się, że najbliższa linia podchodzi do budynku farmy na odległość stu metrów. Znowu wprawiło to w gniew farmera.

– *W każdym normalnym kraju chroni się rolnika...* – wołał. – *A u nas się do niego strzela. Za oknem mieć olbrzymie czarne miasto... Sto metrów, to jest wystawienie na strzał. Tsotsi udają freedom fighters, a ci znowu dostają sprzeczne rozkazy.*

Wrócili na farmę. Kruger bezustannie narzekał, mieszkając tak blisko Soweto, miał widocznie ku temu swoje powody. Ot los.... Niezasłużony los. Klęska, jakiej się nie spodziewaliśmy. Koniec życia, jakie dotychczas znaliśmy.

Salon farmerski był ciemny i zastawiony ciężkimi meblami. Ze ścian patrzyły podkolorowane, rodzinne portrety. Czarna służąca, Eliza, wyjęła z kredensu porcelanowe filiżanki. Przetarła je i postawiła na tacy z herbatą. Na kryształowe jednonożne naczynie wysypała suche herbatniki. Po wypiciu herbaty gospodarz zsunął naczynie na brzeg stołu i rozłożył dokumenty. Uspokoił się, a twarz przestała mu paść czerwonością. Wyjawiał, że jego stryj z Orange Free State też pracował jako „landmeter”.

– *W tamtych czasach nie istniały jeszcze elektroniczne teodolity* – tłumaczył z naciskiem.

– *Cała robota taśmą* – dodał Albert.

– *Ciężkie było życie geometry* – zgodzili się obaj.

Reszta dnia zesłała im na poszukiwaniu koppie, czyli pagórka, najwyższego punktu na farmie, który potrzebny był Albertowi do pomiarów. Musieli zdeptać kilka mil traw i piasków, spłoszyli wiele węży, nim trafili na odpowiednie miejsce. Stamtąd widać było dość triangulacyjnych punktów, aby móc rozpocząć obserwacje. Były to okoliczne górskie szczyty, wieże kościelne i piorunochrony na wieżach ciśnienia.

Kruger narzekał. Oddawać ojcowski veld w ręce czarnych „współobywateli” – to słowo wymawiał ironicznie – graniczyło ze świętokradztwem. I do niczego dobrego nie prowadziło.

– *Ta ziemia jest naznaczona naszym potem i krwią, o nią walczyliśmy!* – wołał. – *Ale może lepiej, żeby czarni mieszkali skupieni, w jednym miejscu, niż rozeszli się po całym kraju. Tylko niech nikt nie mówi, że się nimi nie opiekujemy* – chwilę nad czymś się zastanawiał. – *Bo przecież oni potrzebują opieki.*

Albert spojrział na rozmówcę zaciekawiony.

– *Tak* – powtórzył farmer. – *Przecież czarni sami sobie nie poradzą...*

– *Są miejsca, gdzie im się to udaje* – sprzeciwił się Albert.

Z punktu, który wybrali widać było trzy wieże ciśnienia górujące nad Soweto i dwie wieże kościelne. Patrząc na południe znaleźli trzy punkty triangulacyjne, dwa na otwartym polu, trzeci na wieży stacji obserwacyjnej straży pożarnej. Samotne koppies stojące na sąsiednich farmach także powinny mieć swoje współrzędne. Ta ilość punktów wystarczy dla dokonania obserwacji i obliczeń, zwłaszcza że były dobrze rozlokowane we wszystkich kierunkach świata.

Banana rozstawił teodolit i Albert rozpoczął pomiary. Po dwóch godzinach przyszedł czas na zmianę stanowiska. Nim słońce zaszło udało się skończyć pracę. Uścisnęli dłonie z farmerem.

Tydzień później obliczenia były gotowe. Czas na zaznaczenie nowych punktów granicznych. Land rover pełny narzędzi, wcześniej rano już byli w drodze. Po godzinie dojeżdżali do farmy Krugera. Zdziwiło ich, że furta nie była zamknięta, a druciana pętla wisiała luźno. Ruszyli najbliższą drogą gruntową, po ujechaniu stu metrów zobaczyli oznakowany wcześniej punkt geodezyjny. Rozstawili teodolit, a taśmą wymierzili odległość do nowego punktu granicznego. Drugi granicznik wkopali po drugiej stronie farmy, między tymi punktami biegła nowa granica.

Udali się teraz prosto do budynku mieszkalnego. Po wkopaniu graniczniki należało pokazać właścicielowi i spisać protokoły. Nikt nie wyszedł na ich spotkanie.

Albert zapukał kilka razy do różnych drzwi. Powoli zaczęli schodzić się ludzie.

– *Gdzie jest baas Kruger?* – spytał.

Nie było odpowiedzi. Na podwórzu zebrał się spory tłumek. Ubrani w robocze uniformy domownicy mieli zakłopotane miny. Stali bezradnie, nie wiedząc co odrzec. Kobiety uciszały dzieci.

– *Gdzie jest baas Kruger?* – Albert ponowił pytanie.

– *Tsotsi go zastrzelili* – ktoś wreszcie rzucił. – *Dlaczego?*

Zdziwili się jego natarczywością. Żeby kogoś zabić trzeba mu specjalnych powodów, pomyśleli. Głupi biały. Ale odpowiedzieli.

– *Przyszli o piątej rano. Mało rozmawiali. Pewno myśleli, że już sprzedadł farmę, a do kieszeni poupychał „cash”. Ale może chodziło im o co innego?*

Nikt nic nie wiedział, nikt się nie domyślał, co tu naprawdę się zdarzyło. Ot, los. ◊

◊ Autorze...

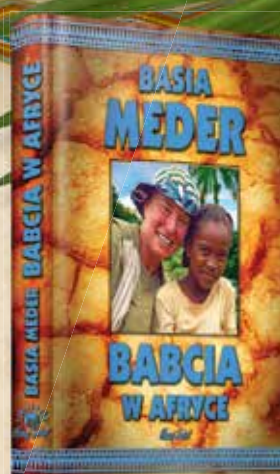


Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Tredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).



**KSIĄŻKI
POD PATRONATEM
„POZNAJ ŚWIAT”**



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł

**PODRÓŻNICZA
KSIĄŻKA ROKU
TRAVELER
2010**
PRYZNANA PRZEZ
NATIONAL
GEOGRAPHIC



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYDANIE II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA I W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



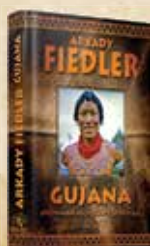
Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



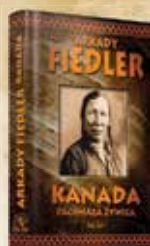
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



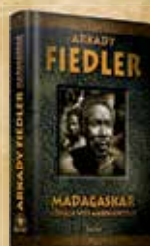
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 15 zł (opr. miękka)



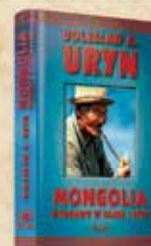
Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49 zł



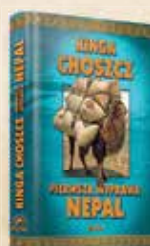
Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



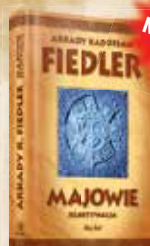
Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ OD BUENOS
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

ZABIĆ ORKE

Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak





Wśród tysięcy indonezyjskich plaż ta jest wyjątkowa. Próżno na niej szukać klimatu tropikalnej idylli – utonął w strumieniach krwi, jaką tutejsi rybacy, w imię kultywowanej od wieków tradycji łowieckiej, napoili i wciąż poją ten niewielki skrawek czarnego, wulkanicznego piasku. Ofiary tej tradycji mają tu swój trwały pomnik pod postacią usypiska gigantycznych kości, zbyt ciężkich, by zabrała je fala przyboju.

suszy się to, z czego odarto potężne szkielety. Dla nielicznych przyjezdnych te mięsne ochłapy i oleisty tłuszcz, który wytapia z nich słońce, to nade wszystko źródło wszechobecnego, zatrującego całą okolicę fetoru. Dla mieszkańców leżącej nad czarną plażą wsi to warunek przetrwania, ich „być albo nie być”.

SSAKI WALCZĄ O ŻYCIE

Niezwykłość tego miejsca tłumaczy w pierwszym rzędzie jego lokalizacja. Lamalera, przycupnięta z dala od innych osad na południowo-zachodnim wybrzeżu Lembaty – największej z wysp w archipelagu Solor – do niedawna utrzymywała kontakt ze światem jedynie dzięki rybackim łodziom, docierającym stąd do kilku sąsiednich wysp. I choć sporo w tej kwestii zmieniła nowa, acz wertepiasta droga, która od paru lat łączy wieś z prowincjonalną stolicą wyspy Lewolebą, nadal trzeba zadać sobie dużo trudu, by tu dotrzeć. Turyście, który musi podjąć w tym celu wieloetapową podróż na wschodni kraniec wyspy Flores – skąd kursują promy do Lewoleby – a następnie pokonać niemal niezaludniony „interior” Lembaty, nietrudno zrozumieć problemy, jakie stwarza taka izolacja. Na ludziach osiadłych przed wiekami nad czarną plażą wymusiła ona opracowanie własnego patentu na samowystarczalność. Tak surowego, jak warunki stworzone w tym miejscu przez samą naturę.



Kęgi z wielorybich szkieletów spotkać można w okolicznych obejsiach, gdzie służą za taborety lub podstawki pod kwiaty. Sens śmierci, którą zadano morskim gigantom, tłumaczą jednak przede wszystkim wszechobecne rusztowania, na których





FOT. MALGORZATA JARMILOWICZ I ZYCHMUNT LEŚNIAK

Zmierzając w sierpniowy poranek w stronę tego niezwykłego zakątka Indonezji, widzimy również świadectwa tego, czym tak hojnie obdarzyła go natura. Delfiny baraszkuje w kilwaterze przeladowanego promu, płynącego z Flores na Lembatę, są dla nas symboliczną delegacją licznie występujących w tych wodach gatunków morskich ssaków. Także tych największych, które za stały szlak wędrówek obrały sobie okolice Lamalery. Nie wiadomo, kiedy rybacy znad czarnej plaży upolowali pierwszego wieloryba; precedens ten stał się receptą na życie – i przeżycie – również dla wszystkich następnych pokoleń mieszkańców tej wsi. Receptą unikalną, bo polowania na wielkie walenie nie upowszechniły się bynajmniej na innych wyspach dzisiejszej Indonezji. Wyjątkowy charakter łowów praktykowanych w Lamaleryze wynika jednak przede wszystkim z odwiecznej niezmienności metod i reguł, jakim pozostają wierni tutejsi wielorybnicy. W epoce przemysłowych i technicznie za-

awansowanych polowań na wieloryby, uprawianych mimo protestów reszty świata przez takie kraje jak Japonia, Norwegia czy Islandia, łowieckie tradycje rybaków z Lamalery jawią się jako zdumiewający swojną żywotnością relikty przeszłości.

DŁUGA AGONIA WIELORYBA

Zdaniem samych wielorybników rytzy obyczajowe związane z polowaniami powstały już w XIV wieku, kiedy na wybrzeże Lembaty mieli przybyć ich pochodzący z Sulawesi przodkowie. Ignasius Blajan, siedemdziesięcioletni harpunnik, który udziela nam kilkudniowej gościny w swym domu, dając rzadką okazję uczestniczenia w życiu codziennym wielorybniczej rodziny, z nieskrywaną dumą pielęgnuje świadectwa tradycji sławiącej jego wieś. Pokazuje album, w którym obok zdjęć rodzinnych widnieją fotografie polowań, i demonstruje swoje narzędzie pracy – metalowy, prymitywnie

KRWAWA ŁĄŻNIA

Zabijanie i oprawianie tych ogromnych ssaków to proces rozpisany na wiele rąk.



FOT. MALGORZATA JARMOLOWICZ / ZYSKONT. LESNA

TRUP ŚCIELE SIĘ GĘSTO
Wielorybnicy polują też
na rekiny, manty
i delfiny.

obrobiony grot harpuna, będący atrybutem przewodnika załogi wyruszającej na łowy. Drobna postura naszego gospodarza tworzy zdumiewający kontrast z jego największym trofeum – półtorametrową czaszką kaszalota, strzegącą wejścia do domu. W narastającym szacunku dla zawodowego kunsztu Ignasiusa utwierdza nas widok wielorybniczych łodzi, które czekają na połów w krytych palmowymi liśćmi wiatach, okalających plażę. Żadna z nich nie mierzy więcej niż 10 metrów, a drewniane, nieforemne kadłuby i siermiężnie proste takielunek wyglądają jak wierna replika tego, na czym zapewne wypływali w morze pionierzy tutejszych połowów. Konstrukcja i technika wykonania łodzi jest podyktowana przez nakazy dziedzicznej po przodkach tradycji. Jedynym, lecz za to jaskrawym i spornym odstępstwem od tej tradycji są silniki spalinowe, któ-

re zastąpiły żagle. Rybacy utrzymują, że nie używają silników w trakcie samych połowów i nie wypuszczają się poza dozwoloną, przybrzeżną strefę połowów. Jednak dla organizacji walczących o wprowadzenie bezwzględnego zakazu zabijania wielorybów są one kluczowym argumentem, by odebrać Lamalerze ten wynikający z tradycji przywilej.

Pewne jest to, że sama łowów na „grube go zwierza” – jakkolwiek ograniczona przez okres ochronny dla wielkich walenii, jaki obowiązuje tu od listopada do kwietnia – przez wieki nie uległa zmianie i wciąż zasada się na tyleż prymitywnej, co spektakularnej technice uśmiercania ofiary. Gdy zwierzę wynurza się dla zaczerpnięcia powietrza, harpunnik czatujący na rampie wysuniętej z dzioba łodzi skacze rozepędzony wprost na jego grzbiet, wbijając weń całym ciężarem ciała ostro-



grot osadzony na bambusowym drzewcu. Jeśli cios jest celny, reszta zadania polega już „tylko” na szybkim podjęciu harpunnika z wody i na czekaniu, aż waleń trzymany na uwięzi przez przywiązaną do harpuna linę osłabnie i ostatecznie wynurzy się na powierzchnię. Agonia potrafi jednak trwać kilka dni – Ignasius pamięta wieloryba, który walcząc o życie zaholował łódź aż pod wybrzeża Australii! Realne jest także zagrożenie związane z ogromną siłą i ciężarem rannych zwierząt, mierzących nawet ponad 20 metrów. Zdarzało się, że rozbijały one łodzie na kawałki albo trwale okaleczały wielorybników. Sąsiad Ignasiusa, Markus, przed dwudziestu laty stracił ramię, zaplątane niefortunnie w linę rzuconą wraz z harpunem. Jego smutny przypadek jest jednak zarazem dowodem na ogromną solidarność tutejszych rybaków, od czasu wypadku utrzymujących rodzinę niepełnosprawnego kolegi. Polowania na ogromną zdobycz, przerastającą siły pojedynczego łowcy, wytworzyły szczególne więzi

między mieszkańcami wsi, czyniąc z nich świetnie zorganizowaną, zdyscyplinowaną i wspierającą się społeczność.



W ŚWIETLE PRAWA

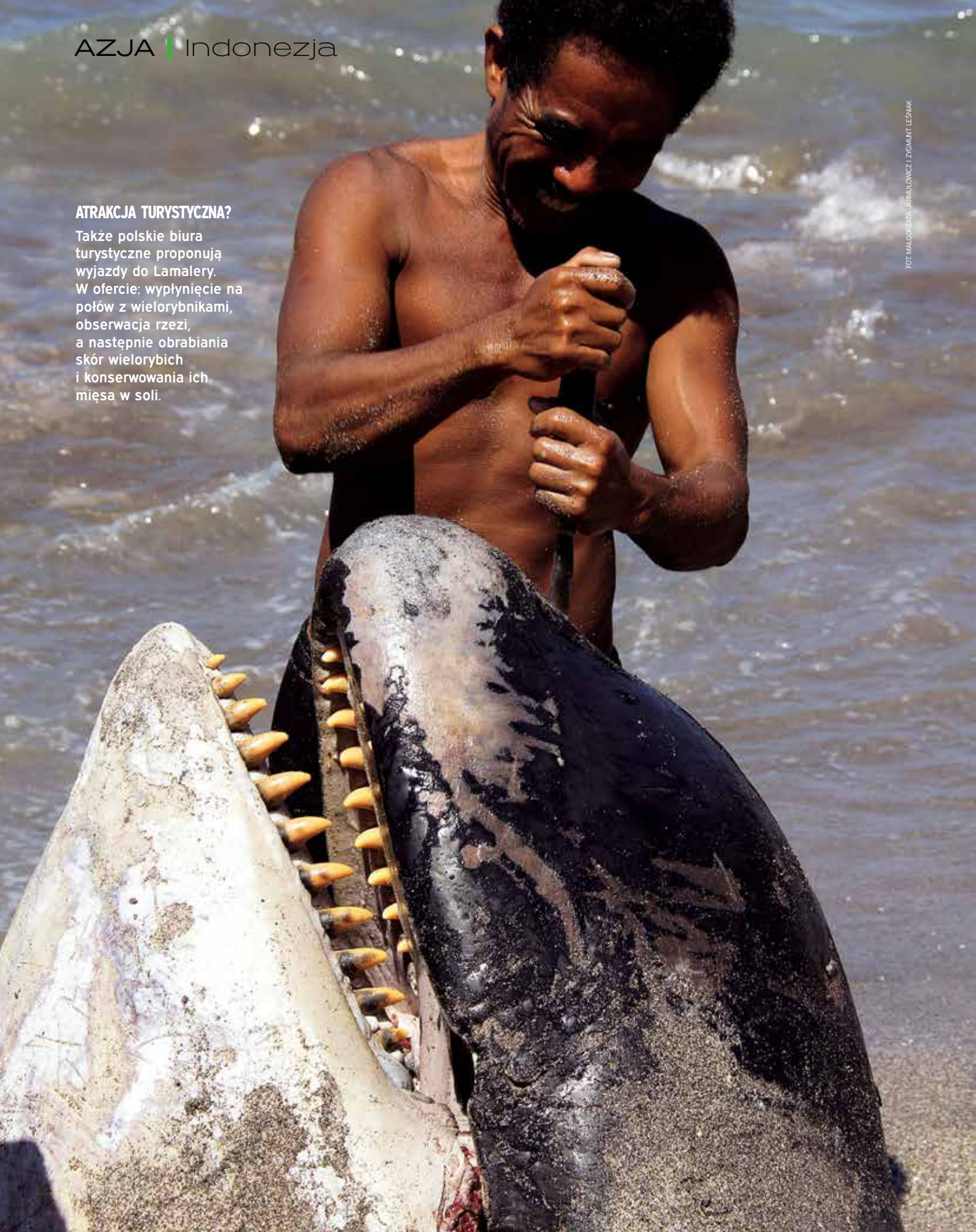
Indonezyjskie prawo zezwala mieszkańcom Lamalery polować na zagrożone gatunki.

BEZRĘKI HARPUNNIK

Za Markusem widać skradzione japońskie detektory do lokalizacji dużych ryb.

ATRAKCJA TURYSTYCZNA?

Także polskie biura turystyczne proponują wyjazdy do Lamalery. W ofercie: wypłynięcie na połów z wielorybnikami, obserwacja rzezi, a następnie obrabiania skór wielorybich i konserwowania ich mięsa w soli.



RZEŹ MA SWOJE REGUŁY

Normy postępowania narzuca tu jednak nie tylko czysty pragmatyzm, ale reguły i tabu wynikające z usankcjonowanej przez przodków tradycji. Legenda o wielorybie fiszbinowcu ratującym załogę łodzi zniszczonej przez burzę podczas polowania, na jakie wyruszyli założyciele osady, tłumaczy powód, dla którego rybacy z Lamalery zabijają tylko drapieżne walenie, wyposażone przez naturę w zęby, a nie w fiszbiny. Tradycyjne i bardzo precyzyjne zasady rządzą także podziałem zdobyczy, trafiającej w stosownych fragmentach i proporcjach do rodzin właściciela łodzi i członków załogi. Z imponującą wprawą i bezdyskusyjną pewnością, co się komu należy, rybacy dzielą każdy łup, jaki trafia na plażę, zarówno gigantyczne kaszaloty, jak i inne, z reguły również potężne ofiary harpunów i sieci: rekiny, manty, mieczniki, tuńczyki czy delfiny. Podział ról przy dystrybucji zdobyczy też nie budzi wątpliwości – podczas gdy mężczyźni sprawnie oprawiają i kawałkują mięso, kobiety płuczą ob-

lepione piaskiem półcie w morzu i transportują je do domów. O dziedzicznej niezmienności takich obyczajów przekonuje nas obserwacja zachowań dzieci, których nigdy na plaży nie brakuje. Chłopcy asystują przy typowo męskich czynnościach, pomagając przy wyciąganiu wielkiej zdobyczy z wody i z fascynacją studiując anatomię złowionych zwierząt. Dziewczynki w ramach zabaw ćwiczą umiejętność balansowania przedmiotami przenoszonymi na głowie.

NIEWINNE OKO NIE ISTNIEJE

Spotykamy w Lamalery zaledwie paru turystów. Oczywiście, przybyli tu w nadziei na możliwość obejrzenia widowiskowych łowów na wieloryba. Szanse praktycznie są niewielkie – rybacy zabijają rocznie 10-15 wielkich walen, wykorzystując ich mięso wyłącznie do własnych potrzeb. Nie odmawiają jednak turystom udziału w polowaniach. Sęk w tym, że od czasu, gdy bogaci japońscy filmow-

DRAPIEŹNIK POKONANY

Rekiny wolno rosną, późno dojrzewają i mają mało potomstwa. Czy warto przyspieszać wyginiecie tych ryb?



FOT. MALGORZATA JARMULOWICZ / ZYGIMUNT LESNIAK



CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIAKNIĘ...

**Wielorybnicy dbają,
by tradycja polowań
nie zanikła.**

cy zapłacili dobrowolnie fortunę za możliwość ich sfotografowania, wielorybnicy zwęszyli w tym świetny interes i teraz żądają niebotycznych sum za każde zdjęcie harpunnika „w akcji”. Istnieje nawet nieformalny cennik usług: miejsce w łodzi to zaledwie 100 tys. rupii, dopłata za udany połów – 50 tys., ale pojedyncze zdjęcie harpunnika zabijającego wieloryba to już 1 mln rupii, a film – 5 mln! (milion rupii indonezyjskich to około 110 USD). Dwoje Amerykanów, których spotykamy chwilę po ich powrocie z morza, podkreśla jednak dodatkowo, emocjonalny koszt takiej „atrakcji”. Śmierć wielkiej orki, której stali się świadkami, nawet dla średnio wrażliwego przybysza musi być drastycznym i bardzo smutnym przeżyciem.

– *Powinniśmy byli zostać na brzegu. Trudno się po tym otrząsnąć* – mówią wyraźnie przygnębieni. Nie trudno uwierzyć. Dla nas dostatecznie przykrym widokiem jest samo ciało orki, przyholowane przez dumnych łowców na skraj plaży. Jak na ironię, za-

bójcą pięknego walenia okazuje się „nasz” Ignasius! Z zawodową rzeczowością, pokazując rany na martwej zdobyczy, objaśnia nam sposób, w jaki uśmiercił zwierzę: ślad po uderzeniu harpunem, szramy po burtach dwóch łodzi, które zablokowały orkę w morderczym uścisku, dziurę na linę holowniczą, przewierconą przez płetwę grzbietową...

Wieczorem musimy wyprzeć ten obraz z wyobraźni – orka (jedna z dwóch zabitych tego dnia) trafia na stół w charakterze dania na kolację. Podobnie jak nasi gospodarze nie mamy większego wyboru, w Lamalerze trzeba cieszyć się z tego, że w ogóle coś leży na talerzu, a mięso wydarte morzu to często jedyne dostępne tu źródło kalorycznego pożywienia. W tej części wyspy nie rosną nawet palmy kokosowe, a warzywa stanowią rzadki i drogi, bo importowany marytas. Dodatkiem do orki, przypominającej smakiem gorzkawą, twardą wołowinę, jest „warzywo” zastępcze: ugotowane liście z mizernego, podobnego do akacji drzewa



FOT. MALGORZATA JARMULOWICZ / ZYGMUNT LESNAK

rosnącego przed domem. Życie mieszkańców wsi wyglądałoby inaczej, gdyby nie skrajnie suchy klimat Lembaty (rocznie jedynie 60 mm opadów), który sprawia, że również rezerwy pitnej wody są tu ograniczone i często niewystarczające. Nasz wyjazd z Lamalery przyspieszył właśnie przedłużający się brak wody w wioskowym wodociągu, zmuszający ludzi do pieszych wędrówek po wodę do odległych studni.



FOT. MALGORZATA JARMULOWICZ / ZYGMUNT LESNAK

OKRAŚĆ ZABÓJCÓW

Trudna walka o przetrwanie, trwająca w Lamalercie od dnia, w którym osiedlił się tu pierwszy rybak, toczy się na wielu polach bitewnych. Do odwiecznych zmagania jej mieszkańców z siłami natury coraz częściej dochodzą jednak problemy stwarzane przez innych ludzi. Trudno przewidzieć, jaki skutek odniosą interwencje organizacji ekologicznych, oskarżających wielorybników o rzeź chronionych gatunków zwierząt. Los żyjących w tutejszych wodach wielorybów też nie jest pewny – wiele może zmienić rozważana przez potężne koncerny wydobywcze idea eksploatacji wykrytych na Lembacie złóż złota, która odbiłaby się fatalnie na stanie środowiska naturalnego w całej okolicy. Póki co, rybacy z Lamalery robią jednak skuteczny użytek z odziedziczonych po przodkach talentów survivalowych. Gdy trzeba, uświęcając cel dość dostępnymi środkami.

– *Co to jest?* – pytamy na widok zaskakująco nowoczesnych urządzeń z długimi antenami, opartych o ścianę drewnitni bezrękiego Markusa. Markus uśmiecha się rozbrajająco:

– *To japońskie boje do lokalizowania dużej zdobyczy. Odkąd Japończycy je tu zainstalowali, skończyły się dla nas udane połowy rekinów. Teraz, gdy wyjęliśmy je z wody, połowy znów są obfite!* ◯

BIADA ZWYCIĘŻONYM

Po nierównej walce na pełnym morzu zwycięzcy przystępują do ostatniego aktu tego dramatu.



Kolorowe neony „Wesołych Świąt!” pojawiły się w polskich sklepach na tydzień przed 1 listopada.

ŚWIĄTECZNY MAZUREK



Nie, to nie w tym roku. Tak, bodaj piętnaście lat temu, chciała zainaugurować sezon bożonarodzeniowych zakupów pewna francuska sieć hipermarketów. Po tym jak przekonali się, że przenoszenie wprost światowych wzorców z Ameryki bywa bolesne, przesunęli zawieszanie bombek na bezpieczniejszy termin, w okolice Dnia Niepodległości. I tak już się stało.

Skądinąd, w miarę jak zanika religijny charakter Bożego Narodzenia wzrasta jego znaczenie komercyjne, ale to chyba tylko pozorny paradoks – być może stopień świątecznego wzmożenia musi być w ludzkości stały? Ale też nie marudźmy, w końcu mamy to, czego chcemy. Wszak jeśli nagle znajdziemy się w miejscu, gdzie nikt świąt nie obchodzi, to czujemy się co najmniej nieswojo.

I na wszystkie sposoby próbujemy sobie ten krajobraz wokół oswoić. Stawiane

pośrodku afrykańskiego buszu sztuczne choinki nie dziwią, jak i przybierane przywiezionymi z kraju lampkami palmy czy pomniejsze baobaby. Boże Narodzenie w środku upalnego lata da się jakoś przeżyć, ale żeby zaraz po świątecznym obiedzie wylegać na plażę pod Sydney i oddawać się windsurfingowi? To jakoś tak nie po chrześcijańsku, nieprawdaż?

Żeby było po chrześcijańsku muszą być i choinki, i prezenty, i potrawy właściwe. Každy Polak wie, że Matka Boska była góralką i dzień przed narodzinami syna jadła karpia, kutię oraz wsuwała barszcz z uszkami, a Józef preferował śledzia, grzybową i kompot z suszu. Zanim więc zadbamy o należyte przeżycia duchowe, trzeba najpierw zatroszczyć się o stół. Wiedzieli o tym polscy misjonarze z Zambii, którzy dobrych kilka lat temu przywieźli sobie z wakacji w Ojczyźnie stoiczek śledzi w occie. Gdy nacho-

dziła ich szczególnie chandra i tęsknota za krajem wyjmowali go sobie z lodówki, przeglądali, wycierali w lnianą ściereczkę – piszę jak mówili, nie koloryzują – i odkładali z powrotem. Bo on był na święta, wyjątkowy.

W Wigilię wręczyli go więc swemu kucharzowi. Po jakimś czasie dobiegł ich z kuchni przedziwny, niepokojący smród ryby. Puścili się tam biegiem, ale było za późno – bezradny kucharz patrzył na patelnię, na której skwierczały (i śmierdziały) marynowane śledzie. Kucharz, który cudem zachował głowę, nie chciał źle. Wręcz przeciwnie – w końcu nie podałyby księżom surowego, prawda?

Z kolei na Wielkanoc, ich sąsiedzi z misji obok, próbowali przywieźć z Polski chrzan. Próby implantowania go do Afryki nie udawały się im – już rósł normalnie, już mieli odtrąbić sukces, kiedy znowu zaczął gnić. Zdesperowani postanowili przywieźć

trochę korzenia chrzanu samolotem ot tak. Po prostu, na świąteczny stół. Skończyło się koszmarem – holenderskie psy na lotnisku w Amsterdamie zwariowały, a duchownych uznano za głównych podejrzanych o... przemyt narkotyków. Chrzan, wedle lotniskowych celników, miał tylko zmylić psy. Za nic nie mogli pojąć po co księżom jakieś gryzące korzenie.

O tym, że czasem lepiej jednak importować, niż polegać na tym, co miejscowe przekonałem się w południowej Ugandzie, gdzie postanowiłem nauczyć Włoszki i Brazylijki co to wielkanocny mazurek. Przepis na to ciasto nie jest specjalnie skomplikowany: masło... Hm, nie ma normalnego masła, wrzucam margarynę. Mąka? Trochę inna, ale jest. Kakao naturalne – a nie może być rozpuszczalne? Pewnie, że może. I tak mniej więcej sobie poradziłem. Moje ugandyjskie gospodynie były bardzo miłe i udawały zachwyty. Ja byłem przerażony – ta paciaja nawet nie leżała koło prawdziwego mazurka! Cały wysiłek na marne.

Oczywiście podróże kształcą, więc z jednej z nich przywoziłem z Rosji znakomity, choć banalnie prosty przepis na paschę. Przywoziłem też wrażenie jakiejś surrealistycznej atmosfery. Było to w Moskwie pod koniec ubiegłego stulecia (jak to pięknie brzmi, prawda?). Kwietniowa niedziela, ciepło, moi rosyjscy przyjaciele, a wraz z nimi ja, patataj, zasuwamy do cerkwi, bo to w końcu Wielkanoc, wielkie święto. Nieliczni przechodnie w okolicy świątyni pozdrawiają się „Christos woskriesien!”.

Przechodnie nieliczni, bo w mieście kompletne pustki. Nic z tego nie rozumiałem. Wymarła Moskwa? Ale dlaczego? Przyjaciele oświecili mnie, że przecież już za dziesięć dni 1 Maja, czyli wielkie święto. Święto działek. Odkąd bowiem nie trzeba chodzić na pochody cała Rosja uznawała święto pracy za oficjalny początek „daczego sezonu”. Wszyscy na te kilka dni wolnego – w końcu nie tylko my jesteśmy mistrzami w organizowaniu sobie wolnych weekendów – ruszają za miasto. A na działce po zimie, wiadoma rzecz, roboty huk. Więc trzeba tak od początku kwietnia tam pojeździć kilka razy, wyszorować, wypucować, by na „majowe święto” zwalić się ze znajomymi z siatkami wódki.

Zupełnie inaczej niż w Moskwie, choć też jakoś nieswojo, czułem się podczas Wielkanocy na Sycylii. Na Wielki Piątek wybraliśmy się do słynącej nie tylko ze wzmacnianych win, podobnych nieco w charakterze do porto, Marsali. Miasto znane jest także

Odwiedź Międzynarodowe Targi Turystyczne ITM Warsaw

Zacznij rok od wakacji!!!

27-29 stycznia, EXPO XXI, Warszawa

Sprawdź najlepsze oferty
zimowe last minute
i letnie first minute

Dziesiątki destynacji turystycznych
pod jednym dachem

- Oferty specjalne i zniżki tylko dla gości targów
- Atrakcje dla dzieci
- Konkursy z nagrodami
- Bezpłatny autobus z Centrum

ITM Warsaw



International
Travel Market

www.itm-warsaw.pl

Patronat honorowy



Patronat medialny

POLSKAWITA

ALL INCLUSIVE

YACHTING

YACHTING

TUR-INFO.PL

TUR-INFO.PL

Travel

eden

z trwającej 24 godziny procesji z figurami świętych i z żałobnikami. Ten wielki i bardzo głośny, bo towarzyszą mu bębny i liczne, zmieniające się orkiestry, pochód idzie ulicami starego miasta. Każda parafia niesie co najmniej jedną wielką i ciężką platformę na której ustawione są figury Jezusa, Madonny i apostołów, a czasem i żywi aktorzy odgrywający pasyjne sceny. Do tego dziesiątki pomniejszych feretronów i sztandarów, setki ministrantów i pomagierów wszelkiej maści, no i tysiące wiernych, a raczej – nie urażając nikogo – gapiów.

Procesja przypomina bowiem w swym

charakterze te wszystkie sycylijskie filmy, które wielokrotnie oglądaliśmy. Pięknie ubrani lokalni dzolero niosą więc święte figury w spodniach Armaniego i kurtkach Guccio, rozmawiając przez komórkę, paląc papierosy i rzucając na boki powłóczyte spojrzenia co piękniejszym dziewczynom. Tylko czekać, aż obok przejdzie jakaś Malena.

A nie, prawda, ona nie przejdzie. Ona właśnie gra Madonnę i jest przez wszystkich absztyfikantów niesiona. Bo święta muszą mieć też swoją hierarchię, ale to już zupełnie inna historia.

EUROPA | Wielka Brytania

The Notting Hill CARNIVAL

Zofia A. Reych



Tańcz! Wypij puszkę jamajskiego piwa Red Stripe. Zrób zdjęcie dziewczynie w pióropuszu na głowie i brokatowych stringach. Zjedz karaibskiego jerk chicken. Popij sokiem prosto z rozłupanego maczetą kokosa. Sok z kokosa popij rumem z plastikowego kubka. Stój pół godziny w kolejce do przenośnej toalety. Skacz pod głośnikami aż do bólu nóg. Uściskaj nieznanego w tłumie. Pozuj do zdjęcia z policjantem. Wypij kolejną puszkę Red Stripe'a. Po dwóch dniach szaleństwa, z utęsknieniem czekaj na kolejny rok i kolejny Notting Hill Carnival.

Jedna z karnawałowych platform przyjechała prosto z Brazylii. Zwieńczona trzymetrową statua leoparda uświetni występ tancerzy z największej londyńskiej szkoły samby. Jej założyciel i dyrektor Henrique da Silva dba o to, aby Paraíso pozostała wierna brazylijskim tradycjom. Co roku wraca do rodzinnego Rio, aby wziąć udział w karnawałowym występie szkoły Mangueira. Przywiezione przez niego inspiracje zapewniają sukces londyńskiej szkole.

PIĘKNY I BESTIE

Założyciel największej w Londynie szkoły samby Paraíso, wraz ze swoimi tancerkami.



FOT. ZOFIA A. REYCH



FOT. ZOFIA A. REYCH

RIO W LONDYNIE

Zajęcia taneczne i bębniarskie, a także warsztaty, podczas których szyje się kostiumy i buduje platformy trwają przez cały rok. W czwartki członkowie Paraíso spotykają się w podziemiach kościoła św. Mateusza na Brixton. Dudnienie bębnow słychać w całej okolicy. Wielu ciekawskich zagląda do sali ćwiczeń i staje się regularnymi uczestnikami spotkań. W deszczowy londyński wieczór gorący rytm samby ma niezwykłą moc uwodzenia.

Gdy zgodnie z brazylijskim obyczajem Henrique trzykrotnie całuje mnie w policzki, wyraźnie czuję woń alkoholu. Chcę z nim porozmawiać, ale do karnawału pozostał tylko tydzień i dyrektor jest zajęty. Wskazuje drogę do ciężkich drzwi, zza których dobiega ogłuszająca muzyka. Po ich drugiej stronie pięćdziesiąt osób tańczy sambę. Część to profesjonalni tancerze, część nie zna nawet kroków. Prowadzący sesję uważają, aby nikt nie pozostał z boku; nie mają szans oporni, którzy chcą podpierać ściany. Z przodu sali gra zespół bębniarski zwany bateria, kilka osób śpiewa do mikrofonów. Ktoś wciska mi w rękę kartkę z tekstem piosenki, kto inny ciągnie wśród tańczących ludzi. Dziewczyna obok nie śpiewa, zestresowana obserwuje swoje stopy. Zaraz podbiega do niej jedna z nauczycielek. Nieśmiałość nie ma szans, mocą wybijanego przez bębny rytmu spięta Brytyjka zamienia się w sambistkę. Nie dziwi mnie już oddech Henri-



FOT. ZOFIA A. REYCH

que, co trzeci z tancerzy ma w ręku puszkę piwa. Błyszczą roześmiane oczy, ciała spływają potem. To nie trening, jaki znamy z europejskich szkół tańca. Tu zasady dyktują radość i zabawa. Notting Hill Carnival jest dla Paraíso szansą podzielenia się tą radością z milionem osób.

Szkoła zorganizowana jest w małe grupy ala. Każda z nich pracuje indywidualnie i w dużej mierze od ich sumienności zależy końcowy efekt poniedziałkowej parady.

– *Samba mimo wszystko wymaga dyscypliny* – mówi Teresa, jedna z członkiń zarządu Paraíso. – *Mamy normalne życia, obowiązki zawodowe, a do tego dochodzi zaangażowanie w szkołę, które pochłania bardzo dużo czasu. Teresa tłumaczy, że co roku parada ma temat przewodni, który wybierany jest na spotkaniach zarządu. Do niego dopasowuje się muzykę, dekoracje i projektowane przez Henrique da Silva stroje. W tym roku z okazji dziesiątej rocznicy istnienia Paraíso przypomniane zostaną tematy z lat*

ubiegłych – między innymi „Amazonia – raj natury”, reprezentowany przez platformę z lampartem czy „Cudowny Świat Kina”. Słowa karnawałowej piosenki enredo wyśpiewa na żywo Bruno Ribas, jeden z najpopularniejszych piosenkarzy z Rio.

KIDSAMBA

Pierwszy dzień festiwalu, niedziela, poświęcony jest dzieciom. Wtedy odbywa się wybór najlepszego przebrania.

W ODPOWIEDZI NA PRZEMOC

W latach pięćdziesiątych Notting Hill stało się sceną brutalnych rozruchów na tle rasowym. Popularnie uważa się, że pierwszą ofiarą w sierpniu 1958 roku była Majbritt Morrison, Szwedka pobita przez grupę białych chuliganów w odwecie za zaręczyny z Jamajczykiem. Po tym incydencie zamieszki ogarnęły Londyn na pięć dni. Celem stali się imigrujący do Anglii obywatele byłych Indii Zachodnich. Agresja wywołała żywiołową odpowiedź społeczności afro-karaibskiej, ulice zamieniły się w pole bitwy. Pierwszy karnawał zorganizowano w rok później. Wzorowany na tym z wysp



RAJ NATURY

Na zdjęciu jedna z tancerek z platformy „Amazonia”.

Trynidadu i Tobago miał być świętem karaibskiej kultury, które połączyłoby londyńczyków. Jego sukces wyrasta wprost na gruncie walki z przemocą, ale przez wiele lat co roku towarzyszyły mu niepokoje. Także w 2011 roku karnawał stanął pod znakiem zapytania, zagroziły mu bowiem rozruchy, które ogarnęły Londyn w pierwszej połowie sierpnia. Początkowo pokojowa demonstracja spowodowana zastrzeleniem przez policję czarnego mężczyzny przerodziła się w niekontrolowane wybuchy prze-

mocy. W pełnych napięcia dniach tuż po rozruchach wydawało się, że mieszkańcy splądrowanych dzielnic nie odzyskają zaufania do własnego miasta. Pojawiły się liczne głosy sprzeciwiające się organizacji festiwalu, który mógłby stać się okazją do dalszej przemocy. Ale Paul Heuvelmans, prezes London School of Samba (LSS), nie ma wątpliwości.

– *Od dwudziestu sześciu lat bierzemy udział w paradzie i nie widzimy powodów, dla których miało by to się zmienić w tym roku. Organizatorzy pozostają w ścisłym kontakcie z policją, aby upewnić się, że uczestnicy imprezy będą bezpieczni.*

JĘZYK SAMBY

LSS jest najstarszą szkołą samby w Londynie i jednocześnie pierwszym niekaraibskim zespołem, który w latach osiemdziesiątych dopuszczono do organizacji karnawału. Dziesięć lat temu LSS i Paraiso były jedną szkołą, która uległa rozłamowi. Rywalizacja jest tym bardziej zacięta.

– *Jesteśmy nastawieni na społeczność i jej rozwój, nie na koptowanie modelu z Rio. Z Paraiso podzieliły nas cele i poglądy na sposób zarządzania szkołą* – mówi prezes.

Kulminacyjna parada jest jednak dla London School of Samba bardzo ważna. – *Bez tego nie ma szkoły!* – mówi Joanna, uczestniczka zajęć grupy zaawansowanej. Tancerze i bębniarze przygotowują się do karnawału pod okiem Romero, utytułowanego nauczyciela z Rio, który należał w Brazylii do tej samej szkoły co Henrique da Silva. Kiedy udaje się mi zadać mu kilka pytań, Romero odpowiada, nie przestając tańczyć. Nie wiem, czy patrzeć na jego roześmiane oczy, czy wybijające rytm stopy.

– *Zaproszenie do Londynu* – mówi – to było spełnienie wielkiego marzenia, bo rodziców nie było stać na szkołę angielskiego. Teraz Brazylijczyk bez problemu komunikuje się po angielsku. I uczy londyńczyków języka samby.



TRANS KRÓLOWA

Przebranymi w najbardziej wymyślne stroje są drag queens i transwestyci.

KRÓLOWA BĘBNÓW

Zgodnie z pochodzącym z tradycji karaibskiej zwyczajem, w niedzielny poranek uczestnicy festiwalu obrzucają się mąką i farbami. Co roku karnawałowa niedziela jest dniem dzieci, które biorą udział w miniparadzie. To rodzinne oblicze imprezy. Prawdziwe szaleństwo zacznie się dopiero w ustawowo wolny od pracy poniedziałek. Pojawią się niezliczone stoiska z alkoholem i trzydzieści osiem

z niedzieli na poniedziałek. W ostatniej chwili trzeba poprawić kostiumy, przećwiczyć choreografię, sprawdzić kable i głośniki. Próbę generalną odbywa bateria. W ogłuszającym ryku przed zespołem tańczy Karla-Jayne. Na co dzień poważna project executive w tygodniku „The Economist”, dziś pełni obowiązki Rainha de Bateria, królowej bębnow. Jako najlepsza sambistka w szkole poprowadzi zespół podczas karnawału. Nowa Rainha ogła-

szana jest dorocznie, zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Samby: „doskonała tancerka, wybierana także ze względu na fizyczne piękno”. Z burzą warkoczków, na niebotycznych obcasach i w mikroskopijnych złotych szortach Karla-Jayne z pewnością spełnia wymogi.

SAMBA ŁAGODZI OBYCZAJE

Dwa dni karnawału przebiegły bez zakłóceń. Dwieście czterdzieści trzy aresztowania to o dwa mniej niż w zeszłym roku. Porządku pilnowało siedem tysięcy policjantów w mundurach, funkcjonariusze w cywilu oraz rezerwy pozostające w gotowości w okolicznych szkołach. Nie potwierdziły się najgorsze przewidywania i nie doszło do rozruchów. Na szali była reputacja Londynu. –

Dato się wyczuć zmianę w atmosferze w porównaniu z poprzednimi latami, ale wszyscy wiedzieli, że patrzy na nas cały świat – powiedział zastępca burmistrza Kit Malthouse.

Czterdziesty szósty Notting Hill Carnival miał szczególne znaczenie. Miasto pokazało swoje inne oblicze – i nie jest to zakapturzona twarz chuligana.

Do zobaczenia w ostatni weekend sierpnia! ○



FOT. ZOFIA A. REYCH

DO RIO PROSTO... POTEM W LEWO

W tegorocznej paradzie wzięło udział milion osób. Nad bezpiecznym przebiegiem imprezy czuwało aż 16 tysięcy policjantów.

scen muzycznych z ogromnymi głośnikami, z których popłynę reggae, calypso, hip-hop, dancehall, dub-step i wszelkie odmiany latino. Roztańczone tłumy zamieniają dzielnicę w klub pod gołym niebem. Dwie londyńskie szkoły samby oraz kilkadziesiąt zespołów tanecznych i bębniarskich przemaszeruje przez Notting Hill wśród aplauzu uczestników karnawału.

W przemysłowym budynku przy St. Marks Road zaimprovizowano tymczasową siedzibę LSS. Niektórzy z członków szkoły spędzą tu noc

www.logostour.pl
801 011 864



Logos Tour
BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże na 7 kontynentów z LogosTour

Europa



Azja



Afryka



Australia



Ameryka Płn.



Ameryka Płd.



Antarktyda



Sprawdź naszą ofertę
ponad **150** tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

PANAMA – KOSTARYKA
– NIKARAGUA – HONDURAS
– GWATEMALA – BELIZE – MEKSYK

PERU – BOLIWIA

INDIE – NEPAL

AUSTRALIA – NOWA ZELANDIA

ARGENTYNA – PARAGWAJ
– BRAZYLIA

RPA
+ wycieczka do Suazi

INDIE
+ Rajasthan

KENIA – TANZANIA
+ Wyspa Zanzibar

INDONEZJA
Jawa – Lombok – Komodo – Bali

TAJLANDIA – MALEZJA
– SINGAPUR

KAMBODŻA – BIRMA
– TAJLANDIA

MEKSYK – KUBA

PODRÓŻE DLA KONESERÓW: USA - NOWY JORK JAPONIA INDIE USA - MEKSYK

Uwaga! Lawina



w formie warsztatów.

Szkolenia zaplanowano między 13 stycznia a 24 marca w dwóch schroniskach górskich: na Markowych Szczawinach oraz na Śnieżniku. Zarówno Masyw Babiej Góry, jak i Masyw Śnieżnika, to doskonałe miejsca do nauki, pozwalające niczym w laboratorium obserwować wszelkie procesy rządzące śniegiem i jego przemianami. Oba masywy nie są też tak mocno uczęszczane i zatłoczone, jak np. Tatry czy Karkonosze.

Rakiety śnieżne, skitury, free-ride, telemark czy tradycyjne narciarstwo zjazdowe to coraz popularniejsze formy spędzania zimowych wakacji. Niestety, wzrost popularności tych sportów sprzyja prawdopodobieństwu spotkania się z lawiną, która może zmienić nie tylko teren, ale także ludzkie życie.

Kompania przewodnicka Sigil postanowiła zimowym turystom zaproponować dawkę wiedzy podanej

Kurs lawinowy trwa dwa i pół dnia. Zajęcia poprowadzą wysoko kwalifikowani przewodnicy górscy, instruktorzy ratownictwa, instruktor wspinaczkowy oraz psycholog. Kurs będzie polegał m.in. na poszukiwaniu zasypanych fantomów z pomocą sond, łopat i radaru. Da również możliwość skonfrontowania licznych rodzajów dostępnych na rynku detektorów, plecaków lawinowych ABS i innych urządzeń ratowniczych. Zdobyta wiedza pozwoli uczestnikom kursu bezpieczniej podróżować przez śnieżne pustkowia.

więcej na lawiny.com



Fado przetrwa wieki

Tradycyjne fado, będące istotnym elementem portugalskiej tożsamości, zostało uznane za ważny element dziedzictwa całej ludzkości. Na liście UNESCO znajdują się elementy kultury, będące źródłem poczucia tożsamości i ciągłości danej społeczności, takie jak zwyczaje i obrzędy świąteczne, tradycje i przekazy ustne, sztuki widowiskowe, tradycyjne umiejętności rzemieślnicze oraz wiedza o przyrodzie i wszechświecie.

Fado (z port. los, przeznaczenie) to tęskna pieśń mówiąca o nieszczęśliwej miłości, bólu rozstania i przeznaczeniu. Wykonuje ją solista – kobieta lub mężczyzna (fado lizbońskie) albo wyłącznie mężczyzna (fado z Combray), zawsze przy akompaniamencie dwóch gitar: 12-strunowej, portugalskiej (guitarra do fado) oraz klasycznej.

Najwięcej klubów fado (casa do fado) mieści się w lizbońskich dzielnicach Alfama i Bairro Alto. Warto spędzić wieczór w Clube de fado w Alfamie, który słynie z występów najznamienszych fadistów. Warto jednak pamiętać, że zasłużone brawa można bić dopiero po zakończonym koncercie, a sam występ powinien odbywać się w ciszy. Warto też odwiedzić także Museu do Fado poświęcone historii tego gatunku.

Wodna krzyżówka

W Wągrowcu znajduje się hydrologiczny ewenement. W tym miejscu dwie wielkopolskie rzeki – Wełna i Nielba – niemal pod kątem prostym krzyżują swoje koryta. Podczas spotkania rzeki podbierają sobie zaledwie 10% przepływającej wody. To unikatowe zjawisko geograficzne nie jest dziełem natury, lecz efektem zabiegów melioracyjnych prowadzonych w XIX wieku.

Bije, a nie pokazuje

Najstarszy zegar mechaniczny świata pochodzi z 1386 roku i umieszczony jest w katedrze Salisbury. Proste ciężarkowe zegary potrafią budować tak dobrze, że działały nawet przez 500 lat. Ten chodzi do dziś. Co ciekawe, zaprojektowany został bez tarczy, a jego zadanie polega tylko na wybijaniu godzin.

Bartek okazał się za młody

Wbrew powszechnemu mniemaniu, słynny dąb „Bartek” nie jest najstarszym drzewem w Polsce. Najstarszy okaz tego gatunku rośnie w Piotrowicach koło Szprotawy na Dolnym Śląsku. Liczy około 750 lat i nazywa się „Chrobry”. Rozpiętość korony 16 m, wysokość 28 m i obwód pnia 9,92 m czynią go też największym spośród polskich dębów pod względem kubatury.

Banany na Islandii

Cała gama warzyw i owoców, w tym banany i nawet kawa, uprawiane są na Islandii w szklarniach w Hveragerði ogrzewanych energią z głębi Ziemi. Choć produkcja islandzkich bananów wynosi zaledwie kilkanaście ton, mimo to największym w Europie plantatorem bananów jest właśnie Islandia.



Tatende znaczy dziękuję

Tomasz Michniewicz, znany dziennikarz i podróżnik, prowadzi akcję ratowania czarnych nosorożców afrykańskich, które są na skraju wyginięcia. Akcja ma wspomóc rezerwat Imire w Zimbabwie, będący polem dramatycznej walki o najdroższy czarnorynkowy towar wywożony z Afryki – rogi nosorożców. Za kilogram sproszkowanego rogu płaci się nawet 60 tys. dolarów – więcej niż za złoto czy kokainę.



Rezerwat prowadzi program rozrodu czarnych nosorożców. Pracownicy parku co noc ruszają na patrole bez gwarancji, że wrócą cało do domów. Przeciwno sobie mają kłusowników uzbrojonych w karabiny, broń snajperską, noktowizory i heli-

koptery. Trzy lata temu taki kłusowniczy oddział wymordował znajdujące się w zagrodach wszystkie zwierzęta. Atak przeżył jedynie mały nosorożec, sześciotygodniowy Tatende. Dzięki staraniom właścicieli rezerwatu, Tatende dziś biega na wolności, a program rozrodu powoli się odradza.

Tomek Michniewicz, który historię Imire poznał podczas pracy nad książką „Gorączka”, założył Komitet Tatende i prowadzi zbiórkę w celu ratowania nosorożców w Imire. Wspiera go w tym Greenpeace. Dzięki pomocy nosorożce otrzymają elektroniczne transmitters, leki i monitoring. Akcja jest całkowicie niekomercyjna. Dwie osoby, które wpłacą na konto akcji największą kwotę, pojadą na wyprawę do Imire i będą mogły zobaczyć z bliska dziką afrykańską przyrodę. Te koszty pokryje Fligo.pl, co nie pomniejszy kwoty zbiórki.

www.tomekmichniewicz.pl/tatende



Winiarskie safari

Południowy Tyrol łączy to, co ma najlepszego – jazdę na nartach z testowaniem win i regionalnych potraw. To jeden z najbardziej na północ wysuniętych regionów winiarskich Włoch. W języku ladańskim Dé dl vin oznacza dzień,

spotkają się w czterech chatkach położonych w wysokich górach, tuż przy trasach narciarskich.

Dla chcących solidnie przetestować miejscowe wina to prawdziwe wyzwanie. Każda chatka prezentuje produkty z jednego z czterech regionów, w których uprawiane są winogrona. Górskie schroniska będą serwować do tego jako przekąski: oliwę, chleb z kminkiem, dojrzewające kiełbasy, sery i oczywiście tutejszą specjalność – speck. Degustacje zostaną przygotowane w chatkach Club Moritzino, Ütia Bioch, Ütia Col Alt i Ütia Punta Trieste. Leżą one na wysokości dwóch tysięcy metrów. Do każdej trzeba dojechać na nartach. Na szczęście, w regionie przeważają trasy łatwe, po których jazda nie wymaga wysiłku. To dobrze, bo w każdej górskiej chatce prezentowane są wina z innego regionu, a nie wypadają ich

nie spróbować. Należy to robić ostrożnie (jednak wypluwając), jeśli nie chcemy zbyt wcześnie zrezygnować z jednej z tych przyjemności – z wina lub nart.

w którym w górskich chatkach w Alta Badia można próbować pochodzących stąd najlepszych win. 20 marca miłośnicy wina



Polish FEMALE EXPEDITION



Kończą się przygotowania do pierwszej Polskiej Kobiecej Zimowej Ekspedycji na najwyższy szczyt Spitsbergenu – Newtontoppen (1713 m n.p.m.). 15 marca czwórka polarniczek: Dorota Horba, Agnieszka Siejka, Anna Arseniuk i Kata-

ryzna Siekierzyńska wyruszy na wyprawę, aby w 21 dni przemierzyć 300 kilometrów przez lody Spitsbergenu. Będą ciągnąć za sobą cały ekwipunek, licząc tylko na swoje umiejętności, pracę zespołową, pogodę i przychylność niedźwiedzi polarnych.

Paniom doradzają inni, m.in. polarnicy: Wojtek Moskal i Wojtek Jazdon, podróżnik Michał Kochańczyk i żeglarz Jacek Guzowski. Zbieranie informacji to jednak nie wszystko, bardzo ważne jest również zadbanie o kondycję fizyczną. Do tego dochodzą zajęcia na strzelnicy, w trakcie których panie uczą się posługiwać bronią. Za



nimi już obóz kondycyjny w Tatrach. Przed wyprawą zaplanowały jeszcze biwak na zamrzniętej Zatoce Puckiej w styczniu i obóz zimowy w Górcach w lutym. Patrokat nad żeńską ekspedycją objął miesięcznik *Poznaj Świat*.



Wio piesku, wio!

Ponad 700 psów zaprzęgowych na starcie Husqvarna Tour 2012, stu-dziesięciokilometrowa trasa znana z Biegu Piastów, śnieg, sportowa rywalizacja i 70 najlepszych maszerów (osób prowadzących zaprzęg) z całego świata. Co roku jeden z najtrudniejszych, międzynarodowych wyścigów psich zaprzęgowych bije rekordy popularności! Tegoroczne zawody zaplanowano na 5-8 stycznia 2012 w Jakuszykach, zwanych polską Alaską.

Wyścigi psich zaprzęgowych to dyscyplina bardzo widowiskowa. Sportowe

emocje, psy, które aż rwą się do startu, oraz piękny, zimowy krajobraz polskich gór sprawiają, że kibicom nie zabraknie emocji. Historia wyścigów psich zaprzęgowych sięga czasów gorączki złota na Alasce. Tym razem, nie trzeba jednak jechać tak daleko, żeby zobaczyć choćby dziesiątki białych, puszystych malamutów (północnych psów pociągowych) i poczuć klimat fascynującej przygody.

W żadnym innym sporcie nie ma tak specyficznego klimatu. W tej dyscyplinie tym większe sukcesy odnosi się, im

silniejsza panuje więź pomiędzy psami i ich właścicielem. Ekipy czerpią niezwykłą radość z możliwości wspólnego ścigania się po zaśnieżonych trasach.

Żadne inne wyścigów psich zaprzęgowych w Europie nie cieszą się taką popularnością, jak te z Jakuszyk. Lista zgłoszeń uczestników została zamknięta na 5 tygodni przed rozpoczęciem zawodów. Imprezie patronuje miesięcznik *Poznaj Świat*.



Przetrwać w śniegu

W dniach 10-12 lutego przy schronisku pod Turbaczem w Gorcach powstanie miasteczko namiotowe. To trzecia edycja zimowego biwaku szkoleniowego WinterCamp, cyklicznie organizowanego przez Polish Outdoor Group. Uczestników czeka wiele atrakcji.

Specjaliści od lawin pokażą techniki poszukiwań ludzi zasypanych przez śnieg, a w akcji będzie można zobaczyć psy GORP-u. Górscy profesjonaliści opowiedzą o niesieniu pomocy medycznej w trudnym terenie. Pouceją, co robić, jeśli zgubiłeś się, zaskoczyła cię noc, a zasypany uniemożliwił dotarcie do schro-

niska. Awaryjny biwak zimą to rzecz niecodzienna i potencjalnie niebezpieczna, więc warto potrenować wybudowanie jamy śnieżnej, poruszanie się w rakach oraz używanie czekana! Przekonać się będzie można, jakie drobiazgi pomagają przetrwać i jak na przykład ugotować wodę na śniegu. Uczestnicy biwaku będą trenować w terenie, poznają techniki chodzenia w raketach, które ułatwiają poruszanie się w głębokim śniegu.

Na wszystkich czeka również sztuczna ściana lodowa, wieczorami szkazy najbardziej emocjonujących filmów, nagradzanych na Krakowskim Festiwalu Górskim i w ramach Przeglądu Filmów Górskich w Łądku-Zdroju, oraz spotkania ze znanymi podróżnikami, którzy przy wieczornym ognisku opowiedzą o swoich przygodach w górach.

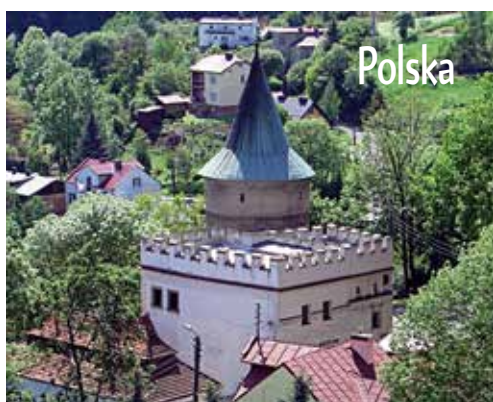
szczegóły na wintercamp.pl



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Rozpuszczony jak dziad biecki

Biecz ze względu na swoją bogatą historię i jej liczne ślady nazywany jest perłą Podkarpacia lub małym Krakowem. Legenda głosi, że nazwa miasta pochodzi o imienia rycerza Becza. Choć nie był biedny, napadał karawany rabując je i uwalniając niewolników. Pewnego razu uwolnił małą dziewczynkę o imieniu Bietka, którą oddał na dwór książęcy. Po wielu latach Becz został skazany za liczne napady na karę śmierci. Przed samą egzekucją młoda dziewczyna zarzuciła mu chustę na głowę ratując mu życie. Była to właśnie Bietka. Skruszony Becz przekazał wszystkie zrabowane łupy na budowę miasta, które stanęło na wzgórzu nad rzeką Ropą, tam gdzie wiele lat temu zwrócił Bietce wolność.

To niewielkie dziś miasteczko (zaledwie 4,5 tysiąca mieszkańców) w połowie XVI wieku było jednym z największych miast w Polsce. Przez dobrą sytuację ekonomiczną Biecz, nawet tutejsi zebnicy stali się stosunkowo dobrze sytuowani i wybrzydza przy przyjmowaniu jałmużny. Stąd miało się wziąć przysłowie „rozpuszczony jak dziadowski bicz” (pierwotnie „jak dziad biecki”).

Za największy zabytek Bieczu uważany jest Kościół pod wezwaniem Bożego Ciała wybudowany w XV-XVI w. Warto zobaczyć również barokowy kościół św. Anny, wraz z klasztorem oo. Franciszkanów. Ciekawym obiektem jest szpital św. Ducha, który został ufundowany przez królową Jadwigę w 1395 r. i jest najstarszym zachowanym budynkiem szpitalnym w Polsce.



49°44' N 21°15' E

Biecz znajduje się 53 km na wschód od Nowego Sącza.



Śladami Rzymian i Słowian

Bitola, drugie co do wielkości (po stolicy Skopje) miasto Macedonii, leży w dolinie Pelagonia, u podnóża Góry Baba, zaledwie 13 kilometrów od greckiej granicy. Miasto zostało założone w VI wieku n.e. przez Słowian, ale największy jego rozwój przypadł na wiek XIX, gdy ze względu na dużą liczbę konsulatów, zwane było Miastem Konsulów.

W zabudowie Bitoli zachowały się liczne wiekowe budynki z uroczymi drewnianymi balkonami, werandami i bogatą ornamentyką. Podziwiać tu można takie zabytki, jak wieża zegarowa, dwa tureckie meczety z XVI wieku czy dziewiętnastowieczna cerkiew św. Dimitrija. Warto odwiedzić Muzeum Bitoli, którego zbiory obrazują bogatą historię i życie kulturalne tego regionu, od czasów antycznych po współczesność. Sam budynek muzeum jest również zabytkiem, za czasów tureckich mieściła się w nim szkoła, do której uczęszczał słynny turecki prezydent Mustafa Kemal Atatürk (poświęcono mu salę pamięci w muzeum).



Bitola wyrosła w bezpośrednim sąsiedztwie antycznej Heraklei Lyncestic, której ruiny znajdują się dwa kilometry na południe od współczesnego miasta. Heraklea została założona przez Filipa II Macedońskiego w IV wieku p.n.e. Można tu podziwiać pozostałości rzymskiego amfiteatru, w którym niegdyś odbywały się walki gladiatorów ze zwierzętami. W okresie wczesnego Bizancjum Heraklea była ważnym centrum episkopalnym. Pozostałościami po tej epoce są ruiny Małej i Wielkiej Bazyliki oraz rezydencji biskupiej. Trzy nawy Wielkiej Bazyliki pokryte są świetnie zachowanymi, misternymi mozaikami o wczesnochrześcijańskiej symbolice.



41°2' N 21°20' E

około 180 km, na wschód od Skopje.

Do stolicy dolecieć można z Warszawy przez Budapeszt liniami Malev.



Monako to drugie po Watykanie najmniejsze państwo na świecie. Na powierzchni około 2 km² mieszka na stałe 33 tysiące mieszkańców. Jednak to malowniczo położone pomiędzy Morzem Śródziemnym a stromymi wzgórzami południowo-wschodniej Francji miasto rocznie przyciąga miliony turystów. Dzięki łagodnemu klimatowi to miejsce warte jest odwiedzania przez cały rok. Mieszkają tu najbogatsi ludzie świata, a swoje wakacyjne rezydencje posiadają gwiazdy filmu i sceny muzycznej.

Jednym z ciekawych budynków w Monako jest Pałac Książęcy – większość komnat można zwiedzać, ale tylko wtedy, gdy właściciel jest poza miastem. Pałacu strzeże honorowa gwardia księcia. Tradycyjna zmiana warty odbywa się codziennie o 11.55. Warto zwiedzić Katedrę Saint Ni-

colas, powstała w latach 1875-1884, w której wnętrzu znajduje się grobowiec księżnej Grace Kelly. Ciekawym miejscem jest także Muzeum Oceanograficzne im. J.Y. Cousteau. Założone zostało przez słynnego oceanografa księcia Alberta I Grimaldiego. W muzeum, oprócz akwariów z różnymi gatunkami ryb, obejrzeć można filmy naukowe. W głównej sali znajdują się pamiątki z wypraw księcia Alberta I, oraz stała wystawa na temat Ziemi.

Nie można oczywiście nie wspomnieć o kasynie w Monte Carlo, w którym, co ciekawe, nie mogą grać mieszkańcy Monako. Chętnie witani są natomiast zamożni turyści. Do większości sal wejść można jedynie na specjalne zaproszenie.

Głównym, jeśli nie jedynym, powodem, aby przyjechać do Monako, są dla wielu mężczyzn oczywiście rajdy samochodowe. Grand Prix Monte Carlo odbywa się w styczniu od ponad stu lat (w tym roku 18-22 stycznia). Monako jest również gospodarzem Grand Prix Formuły 1. Torem są ulice miasta, po których zawodnicy wykonują 78 okrążeń z prędkością dochodzącą nawet do 270 km/h.



41°2' N 21°20' E

Najbliższe lotnisko jest w Nicei, około 20 km od Monako.

Polska Piwniczna Zdrój

To uzdrowisko różni się od znanych kurortów na południu Polski. Nie ma tu dużego ruchu, jest cisza i spokój. Najcenniejszym bogactwem miasta są naturalne lecznicze wody mineralne, znane od dawna jako „kwaśne wody”. Turyści mogą korzystać z naturalnych ujęć oraz delektować się „Piwniczanką” w Pijalni Artystycznej w Łazienkach. Warto odwiedzić muzeum regionalne, które posiada unikatową, największą w Europie kolekcję dawnego sprzętu narciarskiego, nart biegowych i zjazdowych, ukazującą rozwój techniczny tego sportowego wyposażenia.

Na miłośników narciarstwa biegowego w przysiółku Obidza na wysokości około 900 m n.p.m czekają specjalnie przygotowane trasy. Pętla o długości ok. 5 km. biegnie z polany „Czerwona Młaka” początkowo wzdłuż granicy

NARTY w uzdrowisku

(zielony szlak), dalej przechodzi na stronę słowacką i będzie widokowymi polanami w kierunku szczytu Szczob (935 m). Powrót do startu wiedzie wzdłuż niebieskiego szlaku. Rozległe polany dają możliwość wyboru alternatywnych przebiegów trasy.

W okolicy znajdują się stacje narciarskie, m.in. w Wierchomli, Kokuszce i Suchej Dolinie. Szkołki narciarskie, z profesjonalną kadrami instruktorów, oferują szkolenia dla początkujących narciarzy i snowboardzistów.

Gospodarstwa agroturystyczne i pensjonaty proponują, oprócz noclegu, smaczne jedzenie, atrakcje zimowe np. kuligi, ogniska, wieczorki integracyjne z kapelą góralską i wiele innych. Bogata oferta ośrodków turystycznych pozwala skorzystać z zabiegów odnowy biologicznej.

Warunki klimatyczne sprawiają, że sezon narciarski trwa tu nawet do Świąt Wielkanocnych. W Niedzielę Palmową organizowany jest konkurs palm i degustacja potraw wielkanocnych pt. „Jajko, żurek i mazurek”.

 49°26' N 20°42' E

25 km na południe od Nowego Sącza



Francja Paryż

Pocąłunek w marmurze

Muzeum Rodina w Paryżu to stosunkowo niewielkie, ale bardzo popularne muzeum, odwiedzane rocznie przez ponad 700 tysięcy turystów. Znajduje się ono w XVIII-wiecznym pałacyku, w którym niegdyś mieszkał i tworzył artysta August Rodin. W 1916 r. przekazał on państwu jako darowiznę pałacyk, swoje kolekcje, dokumenty osobiste, posiadłość w Meudon i przede wszystkim wszystkie swoje dzieła, rzeźby i rysunki, które do dzisiaj podziwiać można w pokojach i ogrodach pałacowych. To tu znajduje się słynna rzeźba z brązu „Myśliciel” oraz wykuty w marmurze „Pocąłunek”. W muzeum znajdują się również obrazy Renoira, Moneta oraz van Gogha.



 48°51' N 02°18' E

Muzeum umiejscowione jest przy stacji metra Varenne, niedaleko Les Invalides.



FOT. SHUTTERSTOCK



Józef Baran

KAMYKI Z KRETY

Z NOTATNIKA POETY



Jestem znów chłopcem. Moim ulubionym zajęciem na plaży są spacerunki na bosaka po drobnym piasku i wyszukiwanie najpiękniejszych kamyczków wyrzuconych przez morze, a potem wyładowywanie nimi kieszeni.

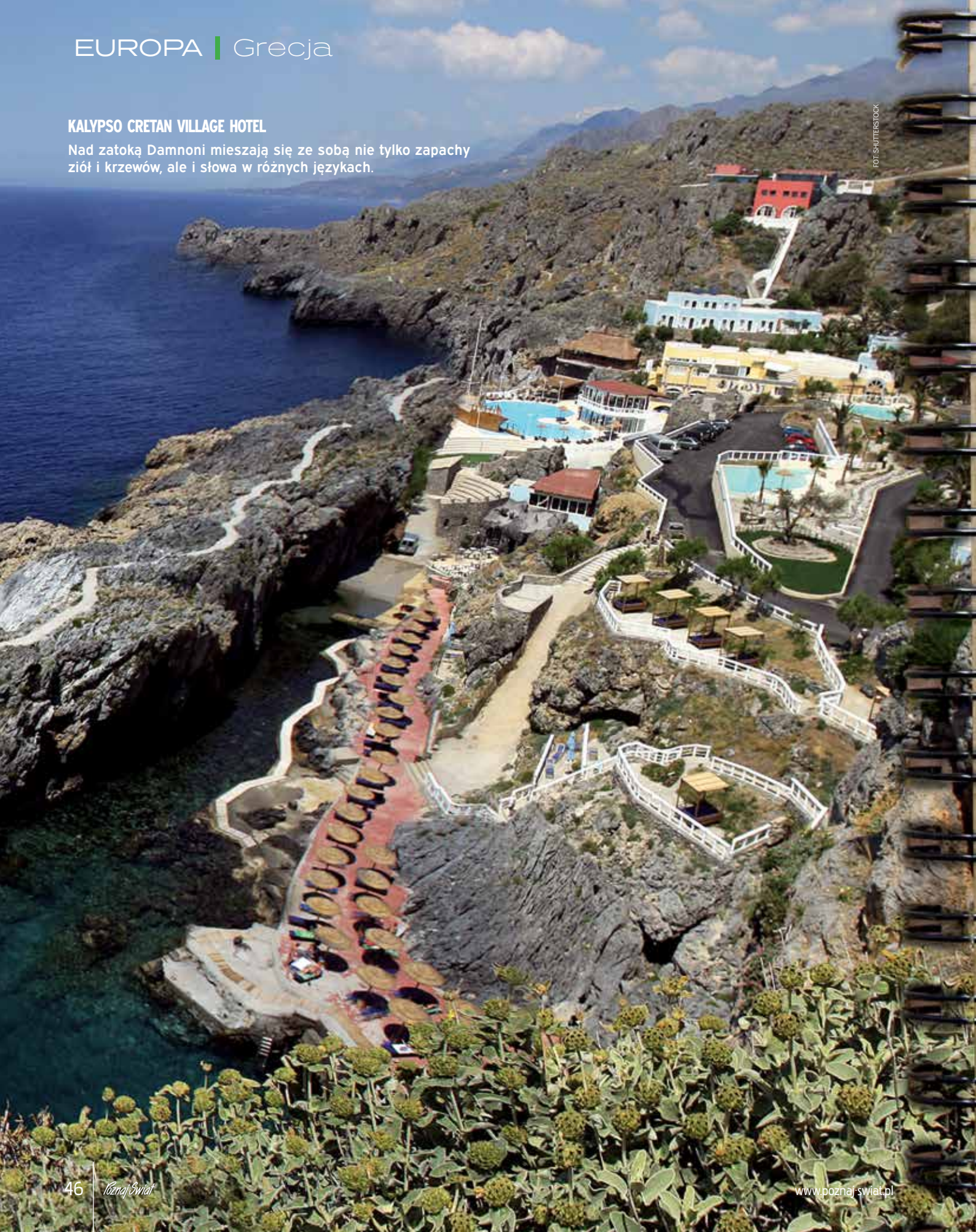
wybijam czarne, pręgowane brązem lub bielą, szmaragdowe, bielutkie nakrapiane jak jajka przepiórki, kryształowo cukierkowate lub duże jak kule armatnie...



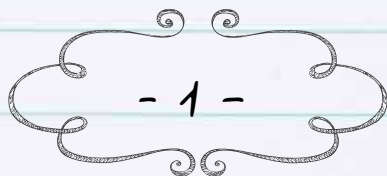
KALYPSO CRETAN VILLAGE HOTEL

Nad zatoką Damnoni mieszają się ze sobą nie tylko zapachy ziół i krzewów, ale i słowa w różnych językach.

PHOT. SAUTERSTOCK



Nad głowami też kamienie, ale kamienie-głazy, kamienie-skały zastygłe po wulkanicznych erupcjach wynikłych z trzęsień ziemi, których Kreta przeżyła kilka, a może kilkanaście w swej bogatej historii. Praczas zaklęty w kolczastych, wystrzępionych skałach i grotach podobnych do lwich pysków budzi respekt i przypomina o tym, że zarówno my ludzie, jak i motyle przefruwające nad naszymi głowami, jesteśmy tylko żyjątkami znikomkami...



Przed południem morze bywa wesołe jak dzieci wracające ze szkoły, miliardy błyszczków słonecznych igrających same ze sobą.

A gdzieś dalej morze rozplywa się w błękitach i miesza z niebem, jakby anonimowy malarz, tworząc fakturę obrazu, usiłował zamazać różnicę między tym co płynne, a tym co lotne...

Z hotelu Kalypso, gdzie mieszkamy, prowadzi nas aż do trzech plaży odludna, kamienista dróżka półka wzdłuż wybrzeża, podwieszona u stóp skalistych gór, i pnąca się to w górę, to w dół. Oszałamiający zapach ziół i kwiatów: jakichś kolczastych chaszczki makii, czyli krzewów-jeżowców (bo w kształcie dużego jeża), oleandrów, olbrzymich kwiatów rumiankowych czy rozkwitających właśnie na zielono, biało, fioletowo, amarantowo czy żółto kęp porostów, wciskających się w każdą międzyskalną szczelinę i wykorzystujących swoją życiową szansę. Wielkie osty wyglądają jak rycerze w kolczugach i zbroi, a kopry przerastają wzrostem człowieka.

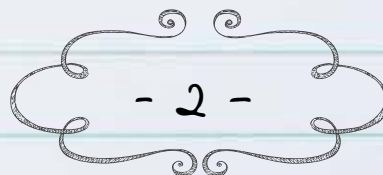
Kreteńczycy, wychowani w surowych warunkach na tej piątej co do wielkości wyspie Morza Śródziemnego (mieszka ich tu około 600 tysięcy), zdobyli w przeciągu wielu wieków wiedzę, jak wykorzystywać te otaczające bogactwa flory; zbierać i suszyć zioła służące jako przyprawy i do celów leczniczych, jak przechowywać i marynować owoce, na czele z oliwkami z gajów oliwnych pospolitych, jak u nas jabłonki.

Potrawy przyrządzane na bazie oliwek, duża ilość zjadanych owoców i warzyw (podobno 4 razy więcej na głowę konsumenta niż w innych krajach), to ponoć główny, choć nie jedyny, powód długowieczności Kreteńczyków.

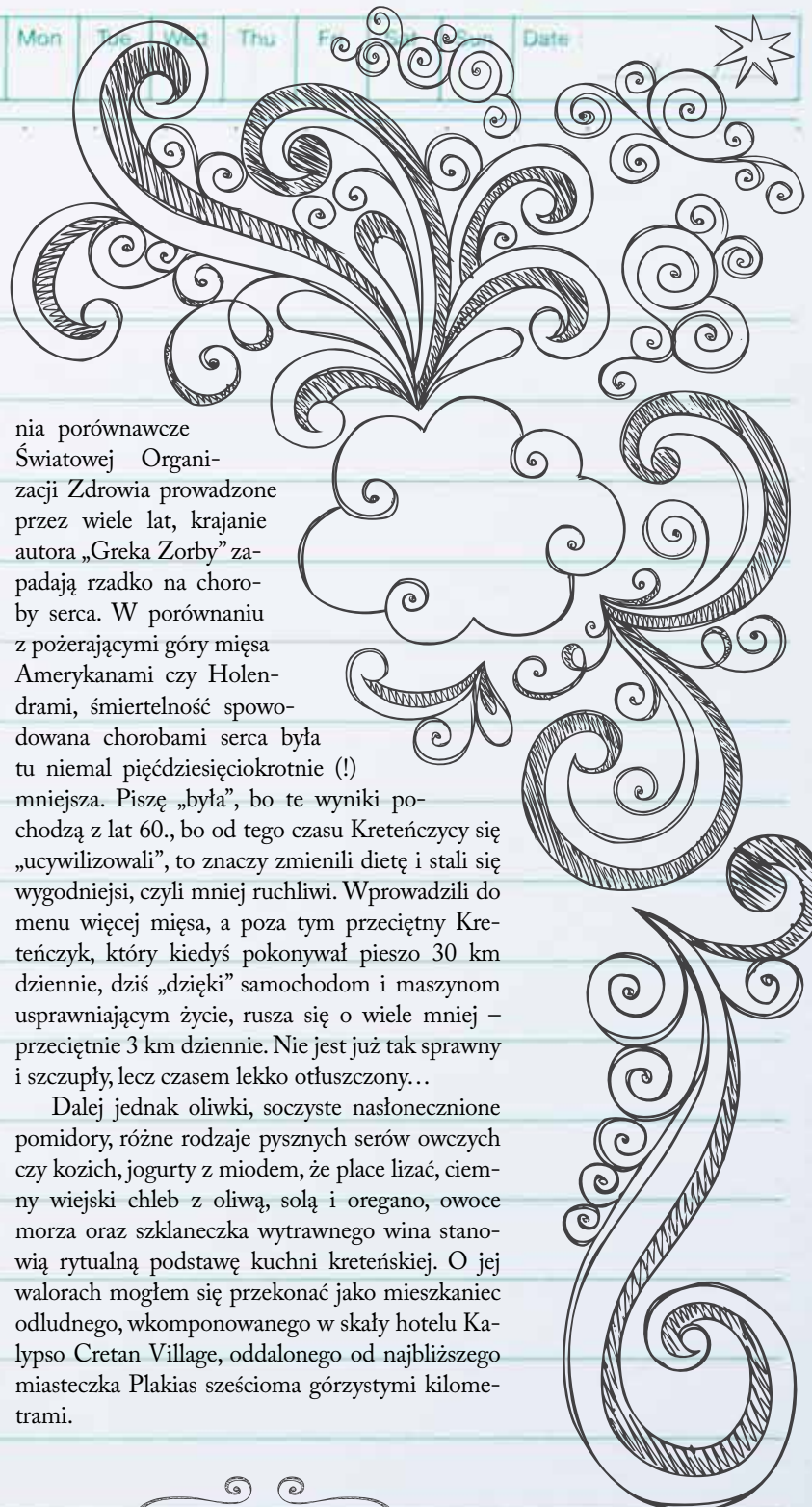
Wyspa może się sama wyżywić, produkty ma w dużym stopniu ekologiczne. Jak wykazały bada-

nia porównawcze Światowej Organizacji Zdrowia prowadzone przez wiele lat, krajanie autora „Greka Zorby” zapadają rzadko na choroby serca. W porównaniu z pożerającymi góry mięsa Amerykanami czy Holendrami, śmiertelność spowodowana chorobami serca była tu niemal pięćdziesięciokrotnie (!) mniejsza. Piszę „była”, bo te wyniki pochodzą z lat 60., bo od tego czasu Kreteńczycy się „ucywiliźowali”, to znaczy zmienili dietę i stali się wygodniejsi, czyli mniej ruchliwi. Wprowadzili do menu więcej mięsa, a poza tym przeciętny Kreteńczyk, który kiedyś pokonywał pieszo 30 km dziennie, dziś „dzięki” samochodom i maszynom usprawniającym życie, rusza się o wiele mniej – przeciętnie 3 km dziennie. Nie jest już tak sprawny i szczupły, lecz czasem lekko otłuszczony...

Dalej jednak oliwki, soczyste nasłonecznione pomidory, różne rodzaje pysznych serów owczych czy kozich, jogurty z miodem, że place lizać, ciemny wiejski chleb z oliwą, solą i oregano, owoce morza oraz szklaneczka wytrawnego wina stanowią rytualną podstawę kuchni kreteńskiej. O jej walorach mogłem się przekonać jako mieszkaniec odludnego, wkomponowanego w skały hotelu Kalypso Cretan Village, oddalonego od najbliższego miasteczka Plakias sześcioma górzystymi kilometrami.



...Wychodzi się przed domek pomalowany na pastelowo, zadziera głowę i wyrastają pionowe klify skalne na 500 m. Czasem zobaczy się też skaczące jakimś cudem po tych pionowych ścianach kozi-



SYMBOL POKOJU I POJEDNANIA

Drzewo oliwne symbolizuje także zwycięstwo, chwałę, honor, dumę, wolność, bezpieczeństwo, prawdę, sprawiedliwość, mądrość, rozum i miłosierdzie. Wybór należy do Ciebie.

ce-akrobatki i przefruwające majestatycznie orły. A poniżej, u stóp ośrodka, w którym mieliśmy stałą bazę – morze, które zmienia swe odcienie błękitu w zależności od pogody, natężenia światła i pory dnia...

O ile dawniej młodzi Kreteńcyzy wyjeżdżali do Aten w poszukiwaniu chleba, dziś powracają na ojczystą wyspę. Kreta ma dużą autonomię gospodarczą i lepiej sobie dziś radzi z kryzysem niż reszta Grecji. Większość mieszkańców to właściciele gajów oliwnych. Zajmują się ogrodnictwem, uprawą warzyw, hodowlą owiec. Nie ma na Krecie fabryk, firm, przyroda jest nieskażona, co przyciąga dużą ilość turystów, więc mieszkańcy znajdują też sezonowe zatrudnienie w hotelarstwie.

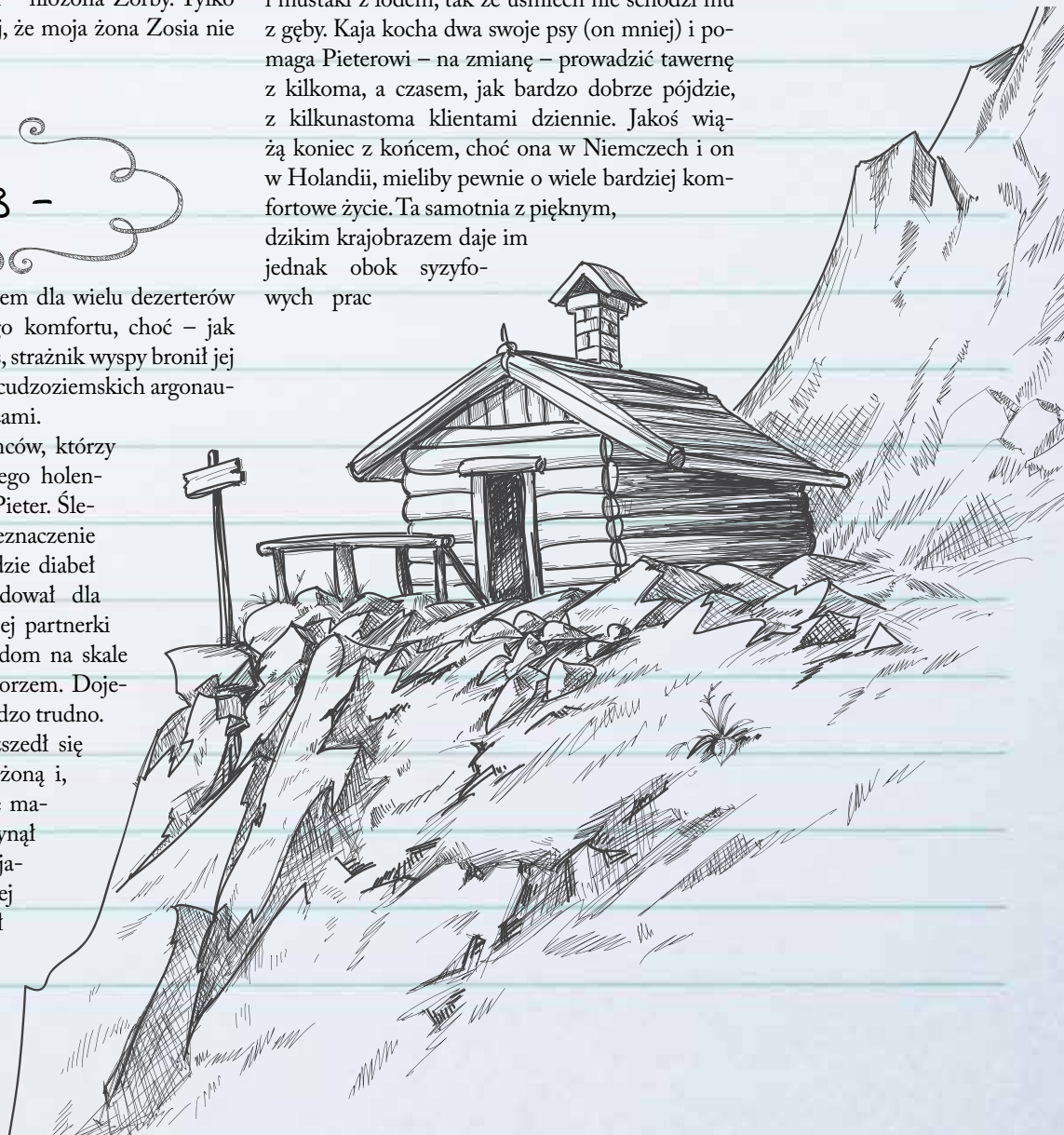
Dimitrios Iliakis, właściciel hotelu, ma swój przepis na długie życie: przede wszystkim zdrowe jedzenie, dobre wino pite w beztroskiej kompanii, życie w harmonii ze sobą i naturą, dużo ruchu, młode kobiety... słowem – filozofia Zorby. Tylko przyklasnąć, tym bardziej, że moja żona Zosia nie słucha tych rad.

- 3 -

Kreta bywa również azylem dla wielu dezertersów ze świata cywilizacyjnego komfortu, choć – jak głosi mit – olbrzym Talos, strażnik wyspy bronii jej zaciekłe przed najazdem cudzoziemskich argonautów, miotając w koło głazami.

Jednym z cudzoziemców, którzy tu osiedli, jest brat mojego holenderskiego zięcia Hansa, Pieter. Ślepe (czy aby ślepe?) przeznaczenie zagnało go w te góry, gdzie diabeł mówi dobranoc. Wybudował dla siebie i dla swojej obecnej partnerki życiowej Niemki Kai – dom na skale wiszącej nad skarpą i morzem. Dojechać tu serpentynami bardzo trudno. Parę lat temu Pieter rozszedł się w Holandii z pierwszą żoną i, realizując swoje osobliwe marzenia życiowe, przepłynął na jachcie Atlantyk, dobijając do Karaibów. Na jednej z wysepek zamieszkał

przez pół roku i tam poznał Niemkę, Kaję, która miała widocznie na niego silny wpływ, skoro namówiła go, by razem polecieć na Kretę, bo „tam jest najpiękniej”. Zakupili kawałek ziemi z pięknym widokiem na morze i zaczęli wszystko od zera. Pietera jako majstra „złotą rączkę” nie odstraszały trudności i przeciwności. Tyrał z Kają jak wół (przy okazji dodawali sobie kurazu greckim bimbrem raki i mustaki z lodem, bo oboje nie wlewają za kołnierzy) i powoli, powoli, po dwu latach harówki dom z malutkim pensjonatem, zawieszonym na skale wyrastającej prosto z morza, stanął na nogi. Przenieśli się do niego z przyczepy, gdzie było ich tymczasowe przytulisko, otworzyli tawernę w pobliskim, ale oddalonym o 30 km miniaturowym miasteczku. Niestety, ani malutki pensjonat, ani tawerna nie dają im wielkich dochodów. Pieter jeszcze bardziej wychudł, ale na szczęście czy swoje nieszczęście, nie stracił ochoty do raki i mustaki z lodem, tak że uśmiech nie schodzi mu z gęby. Kaja kocha dwa swoje psy (on mniej) i pomaga Pieterowi – na zmianę – prowadzić tawernę z kilkoma, a czasem, jak bardzo dobrze pójdzie, z kilkunastoma klientami dziennie. Jakos wiążą koniec z końcem, choć ona w Niemczech i on w Holandii, mieliby pewnie o wiele bardziej komfortowe życie. Ta samotnia z pięknym, dzikim krajobrazem daje im jednak obok syzyfowych prac



WĄWÓZ CZASU

Czy wąskie labirynty
wąwozu Imbros pamiętają
czasy Minotaura?

FOT. SHUTTERSTOCK

także zapewne dużo zadowolenia – w imię zasady *per aspera ad astra*, skoro tylko czasem wydaje im się pułapką. Odizolowali się w niej całkowicie od świata, ale nie od nieba, gwiazd i szumiącego im do snu morza.. Nie mają telewizora, komputera, telefonu. Kaja posiada za to dużą bibliotekę, czym mnie ujęła, z literaturą co prawda niewysokich lotów (głównie romanse, proza fantastyczno-przygodowa), niemniej jej rezygnacja z dobrodziejstw cywilizacji budzi mój respekt...

A co do pułapek...

Czy komukolwiek udaje się od nich uciec?

Dla jednych bywa tą pułapką władza (to dotyczy nie tylko polityków), dla innych – zaborcza żona, dla jeszcze innych alkohol, rozpusta, rozkoszny, bezsensowny nałóg gromadzenia dóbr materialnych... filatelistyka, lenistwo, samolubstwo, obżarstwo i tysiąc mniejszych lub większych nałogów. Pułapka łapie cię za nogę, rękę, wciąga całego i jesteś jej!

Czy Kaja, córka uniwersyteckiego profesora, nie wpadła w pułpkę swojej romansowej literatury, która ukształtowała jej marzenia? Czy nie jest ofiarą sentymentalnej pułapki zwanej „pięknym widokiem” na morze i bezkres?

A może ten kawałek jej losu, który mnie wydaje się pułapką, jej dał właśnie największą wolność z możliwych?

...Wycofali się „na tyły świata”. Przeciwwstawili – ideałom i normom kupieckiej cywilizacji, za co płacą swój słony rachunek...



Skafia. Najbardziej górzysty region Krety. Przemarsz liczącym 7 km wąwozem Imbros. Z obu stron masywy skalne wysokie na 300 m. W największych miejscach szerokość między nimi tylko 2 metry. Dno Imbros zarzucone różnej wielkości kamieniami, głazami i obrywami skalnymi. Wnuczka Nina skacze po nich jak kozica, a mnie wskoczył do głowy wiersz:

W WĄWOZIE IMBROS, GDZIE MASZCZURUJEMY PO KAMIENIACH, DEPCZĄC MILIARDY LAT

z początku nogi boła
ale jak się człowiek rozchodzi
to by szedł i szedł

z początku niemowlak płacze
ale jak się rozżyje
to by żył i żył

lecz gdyby pokazać
nieistniejącemu
przed zaistnieniem
jego przyszłe istnienie
pełne toczących się pod nogi
kamieni
to kto wie czy by mu się chciało
trudzić rodzic chodzić
odwalać
spod nóg
kamień
po kamieniu
(a na tym kamieniu
jeszcze jeden kamień)

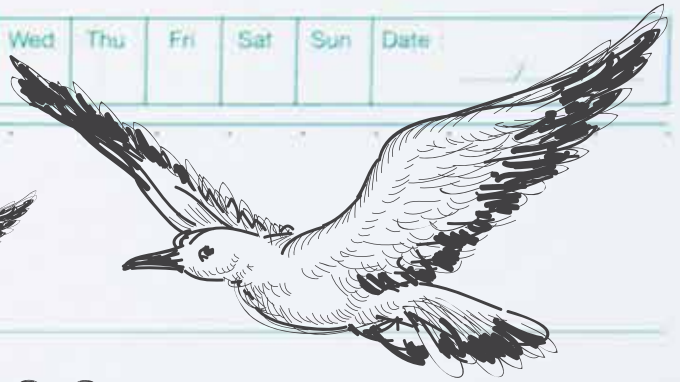
nie lepiej
bez kiwnięcia małym palcem
nie istnieć?



IDYLLA KRYSTAŁOWA
Łódź unosi się na przejrzystej
wodzie, niczym w powietrzu.



A jednak
nie ma
wyboru
ten kto wszedł do wąwozu
musi maszerować
w stronę jedyne go wyjścia
bez wyjścia



- 6 -

z motylem nad głową
zabłąkany przez chwilę
jak on
pośród miliardów lat

- 5 -

W stolicy Krety, Heraklionie, spacerując po nadbrzeżach weneckiego portu, zauważyłam młodą kobietę fotografującą... jeden szczegół – liny. Przede wszystkim, rzuca się w oczy, że nie frapuje jej to, co interesuje wszystkich turystów z aparatami na szyi, czyli stare mury i baszty twierdzy weneckiej.

Staram się odtworzyć jej tok myślenia artystycznego, bo niewątpliwie musi to być osoba obdarzona nietypową wrażliwością. Zauważająca to, czego inni nie widzą.

Pochyla się i fotografuje uparcie powrozy, którymi przycumowane są statki, jachty i łodzie... Wydaje mi się, że wiem o czym myśli ta nieznaną Francuzka, Hiszpanka (?), robiąc zbliżenia lin. Myśli metaforą. Fotografuje może przywiązanie, wierność, odpowiedzialność, a może też siłę przyjaźni, miłości, trwałość węzła małżeńskiego w relatywnym świecie wartości, gdzie wśród współczesnych nomadów stałość jest zasadą coraz bardziej problematyczną, podobnie jak tradycyjna moralność, konserwatywne poglądy etc.

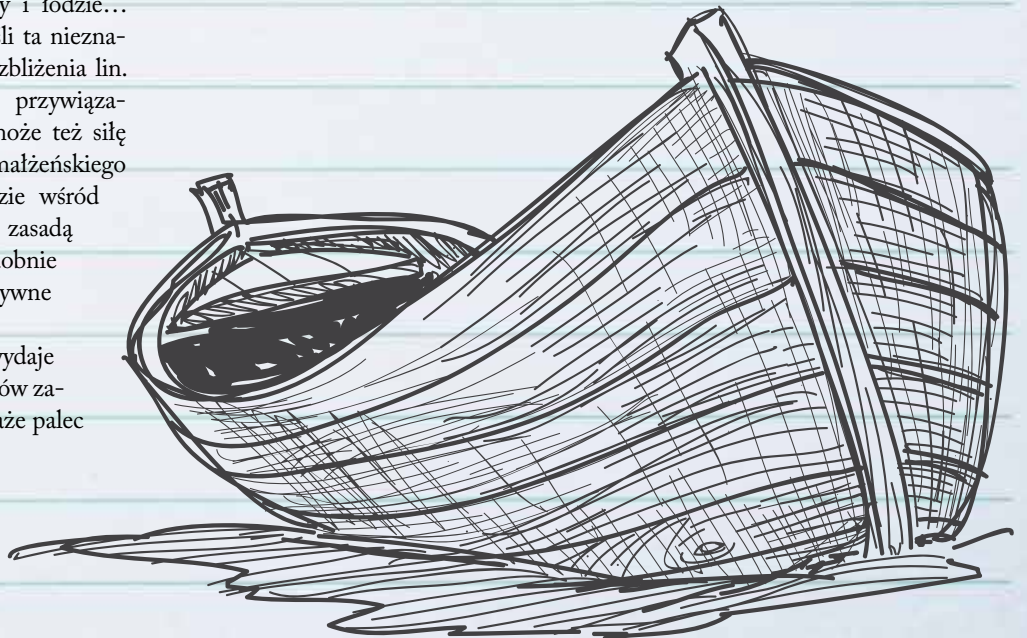
Dziewczyna fotografująca liny wydaje mi się inna od banalnego tłumu turystów zainteresowanych tylko tym, co im wskaże palec przewodnika...

Przez chwilę odczuwam z nią – jako poeta – pokrewieństwo duszy, choć ona o tym nie wie.

Cisza... Ścieżka pnie się w tej rozgorączkowanej ciszy ku obłokowi wiszącemu nad wzgórzem. Słysząc tylko dzwonki u szyi owiec pasących się na makiach pomiędzy skałami starszymi od nich o miliony lat. Słysząc tylko przelot wielkich owadów, może trzmieli, może szerszeni, sam nie wiem...

Dzwonki potrącają delikatnie o ciszę. Gdzieś daleko domki zawieszono na półkach skalnych z kobietami w czarnych sukniach, siedzącymi na stopniach schodów...

...Jeszcze dalej i wyżej wzgórze z białym kościółkiem jak szpicą – do którego jutro pewnie dojdę, wędrowiec czasu, przestrzeni. W dole morze śpiewa skałom pieśń życia. Miliardy błyskotek słonecznych wibrują skocznie bawiąc się ze sobą w chowanego... Chwilowe odczucie jedności ze wszystkim, co mnie otacza i ufności wobec istnienia. Chwilowy błogostan, który mówi mi, że warto żyć.





FOT. ROBERT CALUDA

Chociaż poziom bezpieczeństwa w Iraku jest obecnie wyższy niż kilka lat temu, zagrożenie dla obcokrajowców pozostaje bardzo duże. Wycofanie sił amerykańskich wraz z końcem 2011 roku jeszcze bardziej zwiększa ryzyko wybuchu nowej fali przemocy. Wszystko to sprawia, że Irak jest mimowolnie państwem niegościnnym. Postanowiłem jednak spędzić w tym kraju kilka tygodni jako dziennikarz akredytowany przy amerykańskich wojskach interwencyjnych.



NOWY ŚWIT NAD EUFRATEM

Robert Czulda



FOT. ROBERT CZULDA

BAZA KALSU POD BAGDADEM

Budynki i ważne instalacje otoczone wysokimi zaporami betonowymi, mającymi chronić przed atakiem terrorystycznym.

Czerwiec 2011 roku, a więc kilka tygodni przed moim przyjazdem, był najkrwawszym miesiącem dla amerykańskich żołnierzy w Iraku od marca 2009. Ataki na wojska amerykańskie, służące w tym kraju w ramach operacji „Nowy Świt”, przynoszą wyraźny skutek – Stany Zjednoczone maksymalnie ograniczyły w ostatnich tygodniach działania poza bazami, w tym szkolenie i wspieranie Irakijczyków. Jeśli tylko mogą, Amerykanie pozostają w bazach, gdzie jest dużo bezpieczniej niż na irackich ulicach. W ostatnich tygodniach dochodzi tam coraz częściej do krwawych aktów przemocy. 5 lipca wojska koalicji zostały oszołomione potężnym i zuchwałym atakiem bombowym w Taji, gdzie stacjonują chociażby eskadry śmigłowców oraz instruktorzy NATO. 15 sierpnia w atakach na 17 miast zginęło 66 osób.

Do Iraku przyleciałem z wojskowej bazy w Kuwejcie transportowym herculesem. Na pokładzie nikt nie rozmawiał, każdy czekał na bezpieczne lądowanie – szczególnie młoda żołnierka, wyraźnie przestraszona turbulencjami i gwałtownie zmieniającym się pułapem lotu. To normalna procedura przy lotach w warunkach bojowych – szybkie przyziemienie zmniejsza ryzyko zestrzelenia samolotu przez rebeliantów.

Wylądowaliśmy w bazie Tallil, skąd po kilku godzinach udało mi się dostać na lot śmigłowcem. Dwa majestatyczne black hawkki wylądowały na pasie startowym, szybko załadowano nas do środka i helikoptery poderwały się w powietrze, wzbijając tumany kurzu. W głowie grało mi „The End” zespołu The Doors z pamiętnego „Czasu Apokalipsy” Coppoli. Po obu stronach śmigłowca zagrożeni na ziemi bacznie wypatrywali skupieni na swej robocie strzelcy pokładowi.

POLACY TU BYLI

Mniej więcej półgodzinna podróż ryczącym black hawkkiem pozwoliła mi dostać się do bazy Echo niedaleko Diwaniji, gdzie niegdyś przez długi czas stacjonowali Polacy. Baza nadal pełna była śladów polskiej obecności – ktoś nabazgrał „ŁKS” na murze, gdzieś przyklejono logo Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, wszędzie dużo napisów w ojczystym języku. Niedaleko stał polski śmigłowiec Mi-24, ofiarowany 8. Dywizji Irackiej po tym, jak się zepsuł. Pośrodku bazy, tuż obok kantyny, stały znaki drogowe z naniesionymi nazwami polskich miast. To typowy dla Polaków zwyczaj – zaznaczanie swoich rodzinnych miejscowości



Sama baza nie różniła się od innych, typowych już dla irackiego krajobrazu – wszędzie stały betonowe zapory o wysokości niemal czterech metrów, chroniące przed odłamkami w razie ataku raketowego. Wszystkie okna zakryto workami z piaskiem. W takiej bazie łatwo jest się zgubić – choć ulice mają nazwy (w tym Pulaski Street), to każda wygląda tak samo.

A DO DOMU DALEKO

W bazie Camp Echo w Diwaniji zwyczajem polskich żołnierzy było stawianie symbolicznych drogowskazów z odległościami do rodzinnych miast.

NIE CZAS NA WERSAL

Chociaż obecnie w Iraku jest bezpieczniej niż kiedyś, to rakiety ciągle spadają na bazy. Poza nimi sytuacja jest dużo gorsza. Każdy wyjazd wiąże się z ryzykiem. Uświadomiłem to sobie dokładnie dopiero na miejscu – podczas przygotowań do pierwszego patrolu. Zajął się mną wtedy kapitan o wyglądzie osoby, która niejedno w życiu przeszła. Kilka miesięcy wcześniej wpadł na przydrożną minę, ulubioną broń partyzantów w Iraku i Afganistanie. Przeżył i teraz opowiada o tym z dumą. Zamiast standardowego: „*Jak się masz?*”, drapiąc się po tatuażu, przywitał mnie pytaniem: – *Jaką masz grupę krwi?* Kolejne również nie były budujące: – *Czy masz kamizelkę? Dostałeś już własną apteczkę? Na pewno chcesz jechać? Na koniec rada: – Jeśli wpadniemy na minę lub pod ostrzał to siedź w wozie, w nim będziesz raczej bezpieczny.*

i dystansu, jaki dzieli naszych żołnierzy od domu. Polaków mało kto pamiętał – moi rozmówcy mieli w większości 19, 20 lat, byli za młodzi, by służyć tu „w polskich czasach”. Inaczej było z oficerami – wielu z nich znało polskich żołnierzy i niemal każdy lubił się szcycić znajomością polskich, na ogół nieczuwalnych, zwrotów.

SIKAJ NA TWARDE

Celem mojego pierwszego wyjazdu poza bazę była wizyta u irackiego generała, z którym Amerykanie chcieli porozmawiać o serii ataków na ich konwoje.

KAŻDY WYJAZD MOŻE BYĆ OSTATNIM

Zawsze przed misją przeprowadzana jest odprawa, by nie było miejsca na przypadek.





FOT. ROBERT CZAJDA



FOT. ROBERT CZAJDA

GDZIE CZAI SIĘ ŚMIERĆ
 Ulice Diwaniji ciągle nie są bezpieczne. Żołnierze muszą na każdym kroku uważać na miny pułapki lub snajperów.

IRAK PRZECIWKO IRANOWI (1980-1988)

W Iraku wciąż odnaleźć można ślady wcześniejszych wojen.

Później mieliśmy sprawdzić funkcjonowanie irackich punktów kontrolnych na autostradzie. Taki wyjazd poza bazę jest zawsze starannie zaplanowany – nie ma miejsca na spontaniczność. Tym bardziej że rebelianci monitorują ruchy koalicji, starając się nękać atakami z zaskoczenia. Każdy zabity amerykański żołnierz to dla nich wielki sukces. Jak mi powiedziano, byłbym drugim potencjalnym ce-

lem – zabicie lub, najlepiej, porwanie dziennikarza z państwa NATO to też niczego sobie wynik.

Przed wyjazdem zawsze odbywa się sprawdzenie pogody i upewnienie się, czy śmigłowce mogą latać. Złe warunki atmosferyczne sprawiają, że konwój raczej nie wyjedzie. W razie ataku, bez śmigłowców nie byłoby możliwości wezwania sanitariuszy i wsparcia ogniowego. Na koniec odprawa – dowódca informuje o stanie bezpieczeństwa w strefie działania, zadaniach misji, możliwych zagrożeniach. Zawsze konkretnie i bez patosu. Zawsze dosadnie: – Jeżeli zlokalizujecie miejsce skąd jest prowadzony ogień lub osobę szykującą się do detonacji, strzelajcie, by zabić. Gdyby do takiej sytuacji doszło w terenie zabudowanym, uważajcie na ludność cywilną. I nie szalejcie tylko dlatego, że mamy dzisiaj ze sobą dziennikarza. On was nie powinien interesować. Róbcie swoje. Żołnierze notowali w skupieniu, zadawali pytania, a potem byli wrywkowo odpytywani: – Co zrobisz, gdy wóz numer trzy wpadnie na minę? Kto cię dzisiaj osłania? Który wóz jedzie z tyłu?

Caiman, bo tak nazywa się ten ważący kilkanaście ton sześciokołowy pancerny potwór, zapewnia dużo lepszą ochronę niż humvee, ale i tak za



FOT. ROBERT CZAJDA

każdym razem pojawiał się niepokój, gdy mijaliśmy iracki samochód. A jeśli to akurat zamachowiec samobójca? Znajdujący się u góry strzelec, najbardziej narażona na śmierć osoba w zespole, brał kierownicę na cel, ale to tylko zaklinanie rzeczywistości – w razie detonacji nic nie mógłby zrobić.

Po czterdziestu minutach jazdy w tej głośniejszej i ciasnej trumnie z niewielkimi oknami, z ulgą mogliśmy wyjść na lejący się z nieba skwar. Każdy znał swoje miejsce w szyku – również ja. Zdecydowanym krokiem poruszałem się jako przedostatni, tuż przed „cieniem” – przydzielonym do mojej ochrony żołnierzem. Od razu przypomniała mi się cenna rada: „Sikaj tylko na twarde i chodź tylko po twardym”. Nie wiadomo, czy leżąca niepozornie puszcza, kawał blachy czy właściwie dowolny przedmiot nie jest pułapką, detonowaną przy poruszeniu. Zagrożeniem są także snajperzy, którzy przez osiem lat amerykańskiej obecności w Iraku zebrali krwawe żniwa. Dlatego kamizelkę kuloodporną powinno się nosić pod ubraniem – tak by była niewidoczna. W ten sposób zwiększa się szanse trafienia w korpus, a więc właśnie w kamizelkę. Gdy zaś snajper zauważy pancerz, będzie raczej celował w twarz lub szyję, miejsca odkryte, gwarantujące śmierć na miejscu.



ZGINIESZ ZA MNIE?

Każdy z kilkunastu patroli wyglądał mniej więcej tak samo. Każdy kończył się szczęśliwym powrotem do tej czy innej bazy, w której znużenie i rutyna przychodziły niezmiennie już po kilku dniach. Tutaj każdy dzień jest podobny, co sprawia, że dni tygodnia nie mają znaczenia – służba trwa codziennie. W dzień wolny i tak nie ma możliwo-

PATROL TO NIE SPACER

Każdy z żołnierzy zna swoje zadanie, a kontakty z cywilami ograniczone są do minimum.



CAMP UNION III W BAGDADZIE

Klimatyzowane i doskonale wyposażone kontenery nie zastąpią domu.



WĄTPLIWY TRIUMF

Hełmy irańskich żołnierzy to fragment pomnika w Bagdadzie upamiętniającego zwycięstwo Iraku nad Iranem w nierozstrzygniętej, krwawej wojnie.

ści wyjechania poza to przeklęte betonowe miasto. Wojsko stara się umilić życie swoim żołnierzom. Stołówka jest olbrzymia, a półki uginają się pod jedzeniem – każdego dnia kilkanaście potraw do wyboru. Standardowe wyposażenie bazy to mała biblioteka, sklep wielobranżowy, siłownia, kafejka internetowa, salon kosmetyczny, telewizja kablowa, aczkolwiek głównie z wojskowymi programami pełnymi patosu. Niektóre bazy mają niewielkie baseny oraz boiska do gry w koszykówkę. Co jakiś czas odbywają się imprezy, zawody, konkursy, zapraszani są goście – piosenkarki lub cheerleaderki.

Wolny czas i specyfika miejsca dają możliwość długich rozmów. Najszersze odbywają się na patrolach, gdy nie ma dowódców. Bezpośredniość Amerykanów czasem mnie zaskakiwała. Na pytanie: „Dlaczego wybrałeś akurat wojska lądowe?”, niektórzy przyznawali otwarcie: – *Nigdzie indziej mnie nie chcieli.* Mówili, że nie zawsze mają wsparcie w amerykańskim społeczeństwie, że służba jest ciężka i mało kiedy myślą o tak podniosłych rzeczach, jak wolność czy demokracja – to hasła dobre na potrzeby marketingowe.

Każdy zgodnie przyznawał, że pomiędzy żołnierzami z oddziału wytwarza się więź braterska, której cywil nie jest w stanie zrozumieć. Pośrodku pustyni, w trakcie nocnego szukania osób podkładających bomby pułapki, jeden z żołnierzy zapytał

mnie wprost: – *Czy bylbys gotow oddac za mnie swoje zycie, gdyby sytuacja na patrolu tego wymagala?*

– *Nie* – odpowiedziałem szczerze bez większego namysłu.

– *Widzisz wiec na czym polega roznicza. Wiem, ze kazdy z mojego oddzialu odda za mnie zycie. Ja rowniez jestem gotow sie poswiecic i to nawet za tych, ktorych nie lubie. Zginę nawet za ciebie bo mamy rozkaz cię chronić.*

Świat wojskowych na misjach bojowych i cywilów jest tak dramatycznie odmienny, iż powrót do życia bez munduru dla wielu bywa barierą nie do przejścia.

– *To straszne, ze najpierw naraża się życie, a potem powraca się do kraju, gdzie na człowieka nie czeka nic* – tak mówił Harold Noel, mąż i ojciec trojga dzieci, który kilka tygodni po powrocie z Iraku zamieszkał na ulicy. – *Czułem, że jestem sam, że nikt nie rozumie tego, co przeżywam.*

Okolo jedna czwarta wszystkich bezdomnych na ulicach Stanów Zjednoczonych to weterani, mimo iż stanowią oni raptem 11 procent całego społeczeństwa. Okolo 45 procent weteranów objętych rządowymi programami dla bezdomnych cierpi na zaburzenia psychiczne. Niemniejszy procent nadużywa alkoholu. Czy któryś z poznanych przeze mnie żołnierzy też tak skończy? ○

KONKURS!

Poznaj Świat

Wydawca Miesięcznika „Poznaj Świat” wysyła w świat trzech najlepszych autorów!
Wręcza globus,

10 tysięcy złotych

i oczekuje relacji z wyprawy.

Co należy zrobić, by znaleźć się w tym gronie? Zasady są proste.

1. Należy przesłać do redakcji Miesięcznika „Poznaj Świat” ciekawy tekst, będący zapisem własnej podróży odbytej w okresie styczeń 2011 – styczeń 2012.
2. Dołączyć fotografie z wyjazdu.
3. Uzyskać publikację tego tekstu w Miesięczniku „Poznaj Świat” w jednym z numerów, który ukaże się od września 2011 do lutego 2012. W tym celu należy przejść procedurę kwalifikującą tekst do publikacji przez Redakcję oraz zawrzeć z Wydawcą umowę. Autorzy zamieszczonych artykułów otrzymają wierszówkę wg stawek ustalonych przez Wydawcę.
4. Poddać się osądowi Czytelników, którzy w marcu 2012 wezmą udział w internetowym głosowaniu na trzy najlepsze artykuły publikowane w Miesięczniku „Poznaj Świat” w okresie wrzesień 2011 – luty 2012.
5. W głosowaniu Czytelników zdobyć jeden z trzech najlepszych wyników.
6. Zgłosić się do Wydawcy, ustalić z nim termin i kraj wyjazdu.
7. Odebrać globus i 10 tys. złotych.
8. Napisać dla Miesięcznika „Poznaj Świat” ciekawą relację z podróży.

warunki konkursu:

**POMNIK WYSIŁKU WOJENNEGO
KORPUSU PIECHOTY MORSKIEJ**

„Niecodzienna odwaga była powszechną cnotą”, tak mówił adm. Nimitz o żołnierzach piechoty morskiej, którzy zdobyli (bezużyteczną) wyspę Iwo Jima, i stracili w czasie bitwy prawie 7 tys. ludzi.



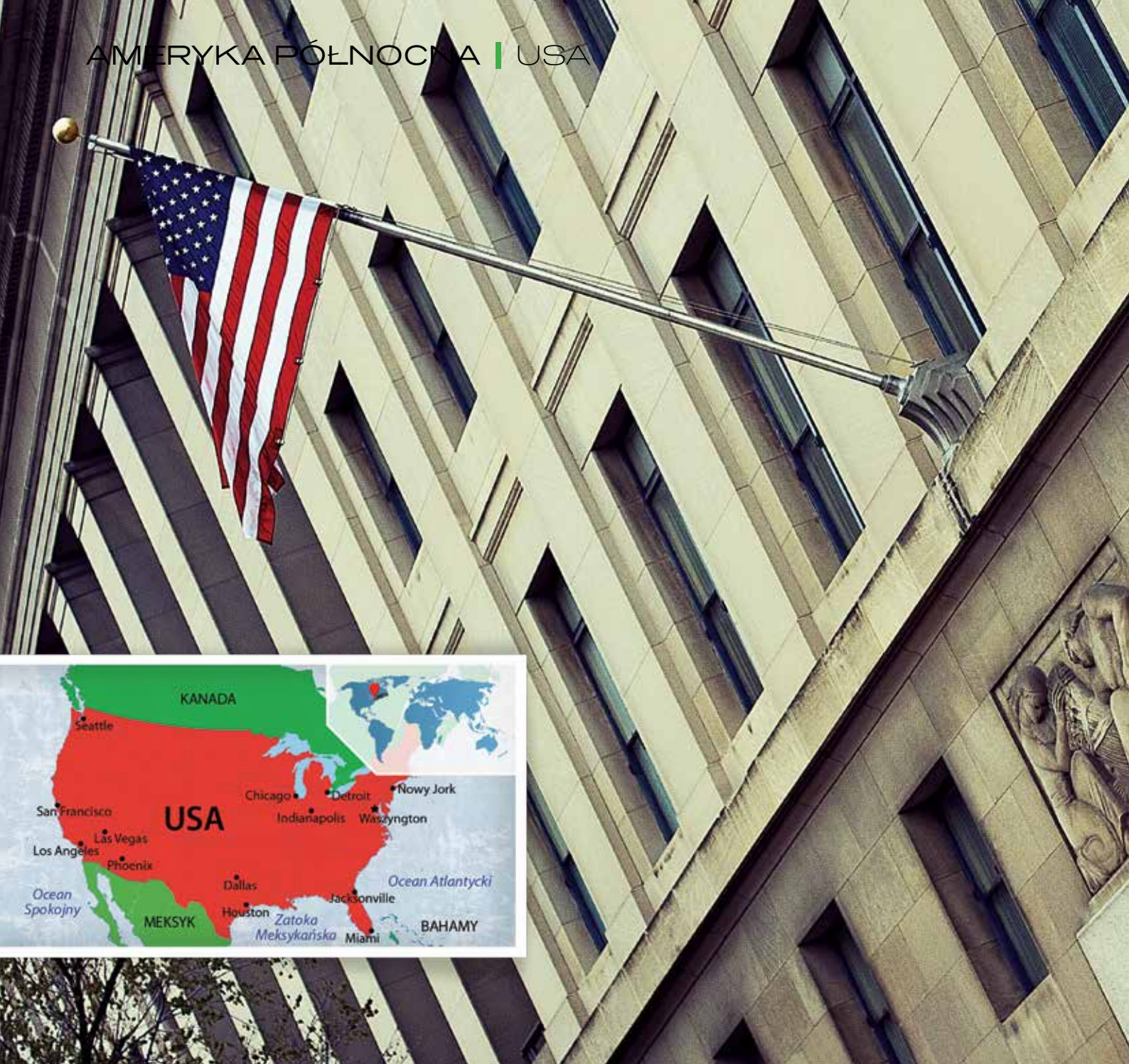
◀ REVOLUTIONARY WAR 1775-1783 ▶ THE CIVIL WAR 1861-1865 ▶ THE SPANISH WAR 1898 ▶ THE GREAT WAR 1914-1918 ▶ THE SECOND WORLD WAR 1939-1945 ▶ THE COLD WAR 1945-1991 ▶ THE 21ST CENTURY 2001-PRESENT ▶

Robert Szewczyk

MIASTO

pomnik państwowości

Podczas planowania wyprawy do Stanów Zjednoczonych zapewne mało kto ustawi Waszyngton na wysokiej pozycji. W końcu ten wielki i niezwykle różnorodny kraj kusi tyloma bardziej znanymi, nagłościonymi i popularnymi miejscami, że odwiedzenie jego stolicy nie wydaje się być bezwzględną koniecznością. Zupełnie niesłusznie.



Waszyngton DC położony jest na północnym brzegu rzeki Potomac, na niewielkim obszarze nazwanym Dystryktem Kolumbii. Teren został oddany przez stan Maryland w czasach, gdy trzynastce ledwo wyzwolonych kolonii poszukiwało własnej tożsamości i próbowało zdefiniować, jak to określił Tomasz Jefferson w Deklaracji Niepodległości – własną filozofię „życia, wolności i dążenia do szczęścia”. Założone w 1799 r. miasto,

nazwane na cześć pierwszego prezydenta Jerzego Waszyngtona (jeszcze za jego życia) to nie tylko administracyjna stolica USA, siedziba prezydenta, Kongresu i głównych urzędów szczebla zarówno krajowego (jak powszechnie znieawidzony IRS, czyli amerykańska skarbowka), ale i międzynarodowego (jak równie znieawidzony, tyle że w skali globalnej, Międzynarodowy Fundusz Walutowy). Jednak przede wszystkim jest to wielki pomnik



SOCREALIZM PO AMERYKAŃSKU

Rzeźba przed budynkiem bardzo kapitalistycznego Federalnego Urzędu Handlu.

amerykańskiej państwowości, wielka kronika jej dziejów, sukcesów i porażek. Jest w Waszyngtonie bardzo namacalna pompatyczność, wszechobecne poczucie imperialnej siły, którego można doświadczyć również w Moskwie, Londynie czy Paryżu. Przejawiają się one w wielkości gmachów, szerokości ulic i bulwarów, mnogości obrazów i rzeźb, będących apoteozą mocy i potęgi, oraz w patosie wszechobecnym pomników. Jednocześnie, w kory-

tarzach tychże budowli, w cieniu pomników dziesiątki tysięcy ludzi oddaje się swojemu ulubionemu zajęciu – *power play*, czyli grze o władzę. Kto stał za zamachem w Dallas? Czym skończyła się afera Watergate? Czy Elvis wciąż... no, bez przesady. Zostawmy ponurą politykę, to nas nie interesuje, choć swoimi skutkami bezpośrednio dotyka. Skupmy się na tej drugiej, bardziej cywilizowanej stronie Waszyngtonu.

W HOŁDZIE OJCOM ZAŁOŻYCIELOM

**Obelisk Waszyngtona
i Jefferson Memorial
w parku National Mall.**

NAJWIĘKSZE MUZEUM ŚWIATA

Między budynkiem Kongresu a iglicą Obelisku Waszyngtona rozciąga się wielki bulwar będący częścią parku National Mall sięgającego aż po słynny pomnik Lincolna. Park ten był miejscem wielu historycznych wydarzeń: to tutaj Martin Luther King opowiadał o swoich marzeniach („I have a dream...”), tutaj dziesiątki tysięcy młodych ludzi protestowało przeciw wojnie w Wietnamie, tutaj odbywają się inauguracje prezydentury. Wzdłuż tego bulwaru, po obu jego stronach rozciąga się zaś Smithsonian Institution – największy na świecie kompleks muzealno-naukowy. Czego tu nie ma! Wielkie galerie obrazów i rzeźb, wystawy sztuki afrykańskiej i azjatyckiej, muzeum historii naturalnej i historii Indian, muzeum awiacji i podboju kosmosu, sztuki nowoczesnej i historii Ameryki... Przebogate ekspozycje sztuki Smithsonian, często udostępniane zwiedzającym bezpłatnie, pochodzą przede wszystkim – i należy to podkreślić – z darów fundatorów oraz legalnych zakupów instytucji, która finansowo jest w pełni zależna od budżetu federalnego. W przeciwieństwie do Luwru, Muzeum Brytyjskiego czy Ermitażu, Smithsonian jest wolny od piętna szabrownika dzieł sztuki i spuścizny kulturalnej podbitych państw lub kolonii.

POLEGŁYM W BOJU

Oprócz wielu pomników upamiętniających wielkich i najbardziej szanowanych prezydentów USA – Abrahama Lincolna, Tomasza Jeffersona czy Franklina D. Roosevelta – Amerykanie upamiętniają swoje wielkie wojny. Robią to, trzeba oddać sprawiedliwość, niezwykle sugestywnie i frapująco. Niemal 60 tysięcy nazwisk żołnierzy poległych lub zaginionych w akcji w czasie wojny w Wietnamie wyrytych jest w kamiennym murze tworzącym Vietnam Veterans Memorial. Postaci żołnierzy rozproszonych w patrolu tworzą pomnik wojny





AMERYKANIE JAPOŃCZYKOM

National Japanese American Memorial. Żuraw – japoński symbol szczęścia i życia tu zmagający się z drutem kolczastym.

koreańskiej. Inspirowany słynną fotografią pomnik bitwy o japońską wyspę Iwo Jima poświęcony żołnierzom piechoty morskiej znajduje się niedaleko wielkiego wojskowego cmentarza Arlington, ostatniej kwatery żołnierzy z wszystkich pól bitew amerykańskiego oręża, od wojny o niepodległość aż po współczesne konflikty bliskowschodnie. Co ciekawe, teren na którym znajduje się cmentarz, był własnością żony generała Roberta E. Lee, naczelnego dowódcy wojsk konfederackich podczas Wojny Secesyjnej. Mary Anna Randolph Curtis Lee była zaś córką adoptowanego wnuka pierwszego prezydenta USA Jerzego Waszyngtona. Amerykanie uwielbiają takie historie. Sam zaś generał Lee do dziś cieszy się wśród Amerykanów szacunkiem i uznaniem.

MIASTO KWITNĄCEJ WIŚNI

Wróćmy na chwilę do historycznych relacji amerykańsko-japońskich, a są one w Waszyngtonie niezwykle wyraźnie widoczne. W 1912 r. burmistrz Tokio podarował mieszkańcom Waszyngtonu 3000 drzewek japońskiej wiśni *sakura*. Drzewka te zostały posadzone wokół niewielkiego sztucznego jeziora i pomnika Tomasza Jeffersona. Kwitną co roku i co roku są tematem narodowego Festiwalu Kwitnącej Wiśni, w trakcie którego mocny akcent położony jest na kulturę japońską. Przed II wojną światową wiele tysięcy Japończyków emigrowało do USA, głównie na Hawaje i zachodnie wybrzeże, tworząc bardzo liczną i spójną diasporę. W Kalifornii z powodu ostrej konkurencji na rynku pracy i w rolnictwie dochodziło nawet do wprowadzania ustaw antyjapońskich (przemycanych pod nazwą ustaw regulujących status mniejszości „mongolskich”). Stosunki amerykańsko-japońskie rzecz jasna sięgnęły, nomen omen, dna po ataku na Pearl Harbor. Następstwem tego było internowanie w specjalnych obozów ok. 120 tys. oby-

wateli USA pochodzenia japońskiego, pozbawianych wszelkich praw i częstokroć również majątku. To internowanie upamiętnia właśnie National Japanese American Memorial, ze statuą żurawia związanego drutem kolczastym i miniogródkiem zen otoczonym, oczywiście, drzewkami *sakura*. A w 1958 r. Tokio powtórzyło swój gest, obdarowując Waszyngton kolejnymi 3800 drzewkami. W kwietniu wielkie połacie miasta znikają pod różowymi kwiatami kwitnącej wiśni, co daje pretekst do zorganizowania wielkiej, barwnej parady. Wszyscy – orkiestry szkolne, wojsko we wszelkich odmianach od armii kolonialnej po marines, straż pożarna, służby sprzątanania miasta, platformy grzmiące muzyką aż po Miss Rodeo stanu Virginia i Japonki w strojach tradycyjnych – albo maszerują w paradzie, albo ją podziwiają. Jest głośno, wesoło i kolorowo, są pokazy sztucznych ogni i jarmark uliczny – prawdziwa *festa americana*.

niem i dbałością nie są chronione jakże starsze zabytki naszego kontynentu.

Waszyngton otoczony jest kilkoma mniejszymi miejscowościami – niektóre o wielkim uroku, inne o wielkim znaczeniu – które razem z DC tworzą szóstą co do wielkości aglomerację w USA. Wspomniane już Arlington to nie tylko miejsce słynnego cmentarza, ale też lokalizacja gigantycznego i ponurego gmachu Pentagonu. Niezwykle urokliwa jest architektonicznie eklektyczna Alexandria (w stanie Wirginia, ale tylko 10 kilometrów od centrum DC), której mieszkańcy podkreślają zachowany wczesnokolonialny klimat miejsca, ale są zdecydowanie mniej dumni z faktu, iż tam znajdował się jeden z największych targów niewolników. Niedaleko mieści się tajemnicze Langley, główna siedziba CIA, więc naturalnie nie bardzo jest co tam oglądać – mówię to z punktu widzenia



U PODNÓŻA APPALACHÓW

Niezwykle urokliwą częścią Waszyngtonu jest Georgetown, niegdyś osobne miasteczko, obecnie dzielnica ciesząca się sporym zainteresowaniem turystów i miejsce zamieszkania wielu prominentnych obywateli miasta. Amerykanie dbają z pietyzmem o swoje młode, jak na nasze standardy, zabytki i niezwykle sobie je cenią, czasem w sposób dla Europejczyka dość zabawny: „Zobacz! Ten bruk ma ponad 100 lat!”. Jako Europejczykowi jest mi jednak nieco żal, że z podobnym zaangażowa-

turysty. Ale minąwszy Langley warto pojechać do Great Falls Park, gdzie można podziwiać kaskady Potomaku pędzącego do zatoki Chesapeake. Jest to miejsce niezwykle piękne i malownicze, ale też śmiertelnie niebezpieczne, szczególnie dla amatorów kajakarstwa górskiego. Great Falls może być doskonałym punktem startu do wyprawy w głąb kontynentu, daje przedsmak tego, co czeka tuż za zakrętem, za następnym wzgórzem... bo już niedaleko zaczynają się wyżyny Appalachów. ○

NARODOWY FESTIWAL KWITNĄCEJ WIŚNI

Temu rocznemu świętu towarzyszy malownicza parada i występy japońskich artystów.

PSYCHOAKTYWNY ESCOBAR

Sebastian Szade

Dwie dekady temu Medellín było stolicą przestępczości. Dzisiaj wizyta tu to obowiązkowy punkt każdej wyprawy do Kolumbii.

artykuł
konkursowy

FOT. S. PASTAN SZADE

NA CZYM DZIŚ ROŚNIE MEDELLÍN?

Medellín to drugie pod względem wielkości, po Bogocie, miasto w Kolumbii. Niegdyś „stolica” narkotykowego handlu, dziś tempem rozwoju wyprzedza inne miasta w tym kraju.



Z Edgarem poznajemy się w nietypowych okolicznościach. Jest pierwszy kwietnia i kolumbjskie linie lotnicze najwyraźniej postanowiły to wykorzystać. Start samolotu z Bucaramangi do Bogoty opóźnia się o kilkadziesiąt minut. Po wylądowaniu grupka pasażerów tranzytowych rzuca się do wyjścia, jednak samolot do Medellín odlatuje bez spóźnialskich na pokładzie... Jest dziesiąta wieczorem, kolejne połączenie dopiero następnego dnia rano. Pechowców szybko ogarnia zwątpienie, ja jestem bezsilny ze swoim hiszpańskim na poziomie przedszkola, krajanie zaś milczący i równie zagubieni. Na szczęście, jest pośród nas ktoś jeszcze. Edgar szybko pokazuje, że jest urodzonym przywódcą. Załatwia wszystkim kolację i nocleg, pilnując, by przy nazwie hotelu wisiała odpowiednia liczba gwiazdek.



EDGAR VS. ESCOBAR

Szybko zaprzyjaźniam się z Edgarem. Na rozmowach o Polsce i Kolumbii mijają nam wieczór w hotelu i poranek na lotnisku. Po lądowaniu w Medellín Edgar nie chce słyszeć, że wezmę taksówkę, wsiadamy więc do jego samochodu. Zbieram się na odwagę i pytam wprost o jego najślynniejszego rodaka, Pablo Escobara. Urodził się przecież tuż obok, w Rionegro.

– *Ludzie nadal go tu uwielbiają. Uważają za naszego Robin Hooda. Bandyta, owszem. Ale jaki! To był geniusz. Zarobił wielkie pieniądze na kokainie, choć ze swoim talentem zrobiłby karierę w każdym innym biznesie* – mówi o nim z szacunkiem. Edgar odcierpiał także swoje. Opowiada o strachu, o epoce La Violencia, gangach, partyzantach, blokadach na drogach, codziennym obcowaniu ze śmiercią. Jako mieszkańca Medellín, czy to w kraju, czy zagranicą, wszędzie brano go za członka kartelu, choć jest przecież absolwentem wyższej uczelni i inżynierem z wiedzą i doświadczeniem zebranym podczas studiów i pracy w Europie Zachodniej. To były lata permanentnej wojny, w której codziennie przybywało nowych ofiar, a nie było żadnych bohaterów. Edgar, mimo wszystko, docenia w Escobarze człowieka nieprzeciętnego, wymykającego się tak skali, jak i prostym ocenom. Trudno mu ukryć swój podziw.

– *To był drań z fantazją. Dostał się do parlamentu! Zagrał na nosie wszystkim politykom. Zaproponował, że spłaci cały dług zagraniczny Kolumbii, byle dano mu spokój. Wyobrażasz sobie? Cały dług wielkiego kraju! Wtedy to było dziesięć miliardów dolarów.*

I Escobar, i Edgar to reprezentanci tzw. paisa. Tak nazywa się rdzennych mieszkańców Antiochii. Miejscowa ludność zawsze była odcięta od reszty interioru. Nie tak roztańczona jak inni, za to pracowita. Gleba jest tu żyzna, ale trudna do uprawy. Wszędzie dookoła wzniesienia, doliny, kotliny, skały – teren faluje, a zieleni kipi. Medellín to miasto „wiecznej wiosny”. Temperatura jest stała. Deszcz pada często, słońce świeci przez cały rok z równą siłą. Przy odpowiednim wysiłku, można tu żyć dostatnio, bo plony zbiera się po dwa, trzy razy do roku. Uprawia się wszystko, ale przede wszystkim kawę. Tę najlepszą, której ikoną jest Juan Valdez, fikcyjna postać wymyślona dla potrzeb promocji produktu eksportowego numer jeden, czyli kolumbijskiej kawy.

SIESTA W EL POBLADO
Na co dzień tętniąca życiem, w niedzielne popołudnia dzielnica sprawia wrażenie wymarłej.

WIEKOWY RODZYNEK
Budynek ratusza to jeden z nielicznych zabytków w dzielnicy El Poblado.



SREBRO LUB OŁÓW

Pablo Escobar na zawsze już pozostanie symbolem Medellín. Otacza go nimb legendy, który rośnie tym bardziej, im bardziej zaciera się ludzka pamięć o minionej epoce. Escobar zaczynał od drobnicy. Pierwsze pieniądze zarobił na... płytach nagrobnych. Potem była kontrabanda papierosów i rozprowadzanie fałszywych losów na loterię. Swoje imperium budował błyskawicznie. W połowie lat 70. przejął kokainowy biznes w mieście, bez skrupułów mordując poprzedniego bonza. Naczelna zasada Escobara w postępowaniu z aparatem władzy brzmiała: „Plata o plomo”, czyli srebro lub ołów. Albo dasz się przekupić, albo trzeba cię będzie zastrzelić. Trudno o dokładne rachunki, ale liczbę ofiar, które wysłał na inny świat szacuje się na ponad cztery tysiące osób. Wśród nich, około dwustu sędziów, kilkunastu dziennikarzy, ponad tysiąc policjantów, a także trzech kandydatów na urząd prezydenta, których kazał zlikwidować w jednej tylko kampanii roku 1989. Zlecał egze-

kucje bądź osobiście pociągał za spust. Jego władza była niemal absolutna. Kartel z Medellín w czasach świetności kontrolował 80% światowego rynku kokainy. Roczny przychód liczone w dziesiątkach miliardów dolarów. Problemy pojawiały się z zupełnie nieoczekiwanych stron. Ot chociażby, w jaki sposób przechowywać takie ogromne kwoty? Każdego miesiąca dwa i pół tysiąca dolarów wydawanych było na gumki, które służyły do trzymania brykietów pieniędzy w zwartych kupkach.

Szacowny „Forbes” umieścił Escobara na swojej liście – pod koniec lat 80. okupował miejsce siódme wśród najbogatszych ludzi świata.

SZACUNEK LUDZI ULICY

Escobar nie był zwyczajnym bandytą. Kierował się swoistymi zasadami. Można by mówić nawet o wrażliwości społecznej, gdyby to nie brzmiało irracjonalnie w przypadku maniakałnego mordercy. Nazywano go „El Padre”, tudzież „Don Pedro”. Ścinał głowy, a potem budował i tworzył niczym

ULICZNA GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Wiele ścian w El Poblado zdobi kolorowe graffiti.





FOT. SEBASTIAN SZADK

średniowieczny azjatycki satrapa. Uwielbiano go równie szczerze, jak się go bano. Escobar stworzył w Medellín całą dzielnicę, którą nieoficjalnie do dzisiaj nazywa się jego imieniem. Jego pasją była piłka nożna, więc nie żałował pieniędzy na nowe boiska dla dzieci. Czołowa drużyna ligi, Nacional Medellín była jego oczkiem w głowie. Sponsorował ją suto, a piłkarze przyjeżdżali często do jego posiadłości, gdzie grali sparingowe potyczki ku radości właściciela i odbierali nagrody za sukcesy. Byli ulubioną rozrywką gangstera na równi z prywatnym ZOO, w którym prym wiodły sprowadzone z Afryki hipopotamy.

KTO ZAGRAŻA USA?

Pod koniec życia Escobar oszalał, zaczął nie tylko handlować, ale również spożywać kokainę. Fala przemocy rozlewała się coraz szerzej, a Medellín stało się światową stolicą zbrodni. W samym roku 1991 popełniono w nim ponad sześć tysięcy morderstw. Pod koniec lat 80. rząd USA określił narkobiznes jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Jednym z efektów nowej doktryny było wypowiedzenie wojny kartelom na ich własnej ziemi. Escobar najpierw trafił do więzienia, gdzie ze szczytów okalających Medellín, w luksu-

sowych warunkach nadal rządził swym imperium. Ową parodię sprawiedliwości postanowiono więc zlikwidować. Podczas przenoszenia więźnia do ośrodka o zaostrozonym rygorze, Escobar uciekł. Poszukiwania trwały szesnaście miesięcy i zakończyły się 2 grudnia 1993 roku, gdy Escobar został zastrzelony podczas obławy na jednym z dachów Medellín. Tak dobiegła końca pewna epoka.

NA WSZELKI WYPADEK

Edgar odwozi mnie do samego hotelu, a dla pewności wchodzi ze mną i sprawdza czy wszystko jest w porządku.

– Baw się dobrze w Medellín. To bardzo bezpieczne i wesołe miasto.

Po tym wstępie następuje długa wyliczanka tego, czego powinienem jednak unikać. Jest więc bezpiecznie, owszem, ale: nie wychodź wieczorami poza dzielnicę, w której mieszkasz, nie zapuszczaj się do śródmieścia, a już na pewno nie sam. Uważaj na dworcach. Nie noś ze sobą większych pieniędzy – tak na wszelki wypadek. Wspominam o tym, że chciałbym odwiedzić stadion.

– Chcesz pójść na mecz? Mowić nie ma, to zbyt ryzykowne.

ŚWIATOWA WIEŚ

El Poblado (z hiszp. wieś) obfituje w nowoczesne centra handlowe i turystyczne atrakcje. Na zdjęciu liczące 7 tys. metrów kwadratowych miasteczko rozrywek dla dzieci.



CO DZIŚ SŁYCHAĆ W ŚWIECIE I MEDELLÍN?

Park Berrío
to centrum starego
śródmieścia Medellin
i od wieków ulubione
miejsce spotkań jego
mieszkańców.

ZŁOTO I CHAOS

Większość turystów skupia się, tak jak ja, na dzielnicy El Poblado. To najbardziej reprezentacyjna, nowoczesna i przyjemna część całego Medellin. Jest tu mnóstwo barów, restauracji, sklepów oraz hosteli. Budynek to głównie nowoczesne konstrukcje z betonu, stali oraz szkła. Wzdłuż głównej arterii, nazywanej wymownie Milla de Oro (Złota Mila), rozlokowały się siedziby banków, korporacji oraz liczne centra handlowe. Wylewa się z nich bananowa młodzież, obciążona torbami z ciuchami znanych marek. Jem włoską pizzę w rytm

amerykańskiego hip-hopu, a dookoła mnie trwa w najlepsze rewia mody godna Paryża czy Madrytu.

W poszukiwaniu starego Medellin wybieram się następnego dnia do dawnego śródmieścia. Miasto przedstawiane jest jako najbezpieczniejsza aglomeracja całej Ameryki Południowej (choć przyznać trzeba, że konkurencji do tego miana wiele nie ma). Mimo to, wsiedam do metra z pewnymi oporami. Pociąg szybko jedzie estakadą nad ulicami miasta. Medellin z tej perspektywy wygląda zupełnie inaczej, nie widać żadnego architektonicznego zamysłu w żywiolo poniżej, pojawia się szalony, latynoski chaos. Tkankę miejską z każdej strony otaczają wzniesienia. Budynek wdrapują się na pagórki, zupełnie jakby w kotlinie na dole było im już za duszno. Ową urbanistyczną panoramę pokrywa mgła wymieszana ze smogiem, która dodaje całości posmaku obcowania z miejscem z pogranicza szalonego snu i niewiele mniej szalonej jawy.

W centrum jest tłoczno, tubylcy idą krokiem szybkim, ze wzrokiem skupionym na celu. Kobiety trzymają dłonie na torebkach. Młodzież nosi plecaki przed sobą. Gringos nie widzę żadnych. Dookoła mnie szybko pojawia się dużo wszelkich żebraków i dziwaków o niepokojącej aparycji. Nie brak również zwykłych, codziennych obrazków. Rodziny spacerują, dzieci się bawią, starszankowie przesiadują na ławkach, gorąco ze sobą dyskutując. W cieniu rozlicznych drzew jest aż gęsto. Wąskie, brudne uliczki są areną głośnego handlu wszystkim i niczym. Z barów wydobywa się dudniąca muzyka i wybuchy śmiechu napędzane piwem.

JEDEN WIELKI MECZ

Jednym z celów mojej wizyty w Medellin jest mecz derbowy pomiędzy Nacional oraz Independiente. Datę potyczki sprawdzałem kilkakrotnie, dostosowując do niej cały grafik podróży. W ostatniej jednak chwili przesunięto ją na dzień, w którym akurat zgodnie z moim planem zwiedzam miasto. Zamiast więc na stadionie, mecz oglądam skwaszony w knajpie, na drugim końcu Medellin. Piłkarze nie szczędzą sobie ostrej gry. Kamera co chwila przeskakuje na trybuny, gdzie w najlepsze też trwa regularna bitwa. Po zakończeniu meczu dogrywka rozgrywa się na ulicach, gdzie w ruch idą kamienie, butelki i żelastwo pospiesznie wyrwane z ziemi. Okazuje się, że mieszkańcom Medellin nadal potrzeba niewiele, by La Violencia zagarnęła ich dusze. Może to dlatego nowoczesność tego miasta przystrojona jest wszechobecnym drutem kolczastym. Tak na wszelki wypadek. ○

ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z **Elżbietą Zającówną** – aktorką, wiceprezes Fundacji Polsat

MAREK SZPENDOWSKI: Kosztem uprawiania zawodu aktorskiego są podróże. A w kosztach nie ma nic przyjemnego.

Elżbieta Zającówna: Kij ma zawsze dwa końce. To jest koszt, ale też i zysk. Może w czasie tych podróży nie poznaje się dobrze krajów, ale poznaje się ludzi. I to jest najważniejsze. Jeżdżąc z występami estradowymi poznajemy hotele, dworce, lotniska i sale, na których występujemy. Często jest tak, że dodatkowo widzimy sale biesiadne – zwłaszcza poza granicami, wśród Polonii. Ale do zjedzenia tam jest zwykle to samo: bigos i schabowy. I po to jeździmy za granicę. Kiedyś przejechałam z grupą estradową całe Stany autobusem i właściwie mogę powiedzieć, że zwiedziłam wyjątkowo busa.



Ale za to luksus warunków występów wynagradza wszystko.

Z tym bywa jednak różnie. Pamięta się głównie sale, w których nie dało się wytrzymać np. sala parafialna, w której garderoba była niższa od Danusi Rinn, a ona nie była najwyższą osobą w naszym składzie. Pamiętam hotele, w których nie było ogrzewania... A jak się reszty nie pamięta, to znaczy, że było dobrze. Najlepiej resztkę nasze podróże określiła współpracownica Zbyszka Górniego, kiedy jeździliśmy po kraju z „Galami piosenki”. Powiedziała: „normalni ludzie jadą skądś dokądś, a wy jedziecie na którąś”.

Prawdą jest, że w podróżach artystów najważniejsze to znać nazwę miasta, sali oraz godzinę występu. Pamiętam, że gdy jedna z moich pracownic, wcześniej „normalna” pojechała pierwszy raz na samochodową trasę koncertową z Goranem Bregovićem, już trzeciego

dnia nie pamiętała, gdzie byliśmy dnia poprzedniego. Po kilku dniach przestała pytać. Ty też jeździsz głównie samochodem?

Kiedyś jeździłam niczym zawodowy kierowca – po 10.000 kilometrów miesięcznie. Jak mówi Zbyszek Wodecki: „z zamiłowania jestem artystą, a z zawodu kierowcą”. Był taki moment, że w samochodzie miałam wszystko. Prawie tyle ile w garderobie w swoim domu.

To teraz o lataniu: pamiętam naszą szaloną podróż lotniczą – w dwa dni Londyn, Wyspy Kanaryjskie, Malta, czy też innym razem Kenia i Seszele. Lubisz takie szaleństwa?

Zastanawiam się nad tym. Mnie się ciągle wydaje, że jestem domatorką, ale przypuszczam, że gdybym zaczęła wieść takie spokojne życie, to by mi się szybko znudziło. Kilka lat temu bardzo chorowałam i tak bardzo się przestraszyłam, że umrę, że teraz korzystam z każdego dnia. Lubię więc szaleństwa, dopóki nie graniczą z niebezpieczeństwem. Przez dżunglę na przykład nie przejdę, bo nie odpowiada mi towarzystwo pajaków i węży. Ale gdybym mogła wybrać się na wycieczkę „Queen Mary 2” to bardzo chętnie.

Najbardziej niebezpieczna podróż?

11 września 2001 roku byłam z grupą w samolocie rejsu Chicago – Orlando. Wylecieliśmy o 8 rano, a już około 9:00 musieliśmy lądować na lotnisku w stanie Kentucky, gdyż takie było zalecenie wieży kontrolnej. Wiemy, co w tym czasie zdarzyło się w Nowym Jorku i Waszyngtonie. To był najmroczniejszy poranek mojego życia. Dokładnie rok później mieliśmy lecieć z Chicago do Nowego Jorku, ale nikt się na to nie zdecydował. Pojechaliśmy pociągiem.

Co chciałabyś przeżyć?

Głupio pytać człowieka, którego życie się dopiero zaczyna, co chciałaby przeżyć. WSZYSTKO! Nasze dziecko właśnie poszło na studia i teraz mogę zająć się sobą. Dotychczas większość podróży dzieliłam z dzieckiem. Aczkolwiek miałyśmy też szalone pomysły. Kiedyś będąc na Igrzyskach Olimpijskich w Chinach, nagle postanowiłyśmy polecieć do Japonii zobaczyć ulubiony zespół córki.

Gdybyś miała uogólnić: czym dla Ciebie są podróże?

Jeżdżę zawsze w towarzystwie o ogromnym poczuciu humoru. Dla mnie nie jest aż tak ważne gdzie się jest, tylko z kim się jest. Nawet najpiękniejsze miejsca na świecie tracą swój urok, jeżeli jesteś w złym towarzystwie. Ja mam swoją grupę przyjaciół, z którą mogę przesiadywać godzinami i z nimi wszystkie miejsca są piękne. Na tych wyjazdach doceniam terapeutyczną wartość śmiechu. Sam zresztą wiesz, bo nieraz mieliśmy okazję do takich wspólnych podróży.

Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.



Zabobonni mówili, że to wszystko przez to, że w Kupferbergu (Miedzianka) przed laty brat zabił brata. Przelanie bratniej krwi miało ściągnąć na miasteczko klątwę. Przypominały o tym dwa kamienne krzyże postawione śląskim zwyczajem przez samego zbrodniarza tuż obok drogi biegnącej do Johannesdorfu (Janowice Wielkie). Iskrypcja na jednym z nich nie pozwalała zapomnieć. Wystawała zza traw za każdym razem, gdy ktoś spojrział w tamtą stronę. To *memento* było jak ostrzeżenie, że za niektóre błędy przyjdzie płacić przez całe stulecia. A dług nigdy nie zostanie spłacony.

NIKT NIĘ WIDZI, JAK ROŚNIE TRAWA

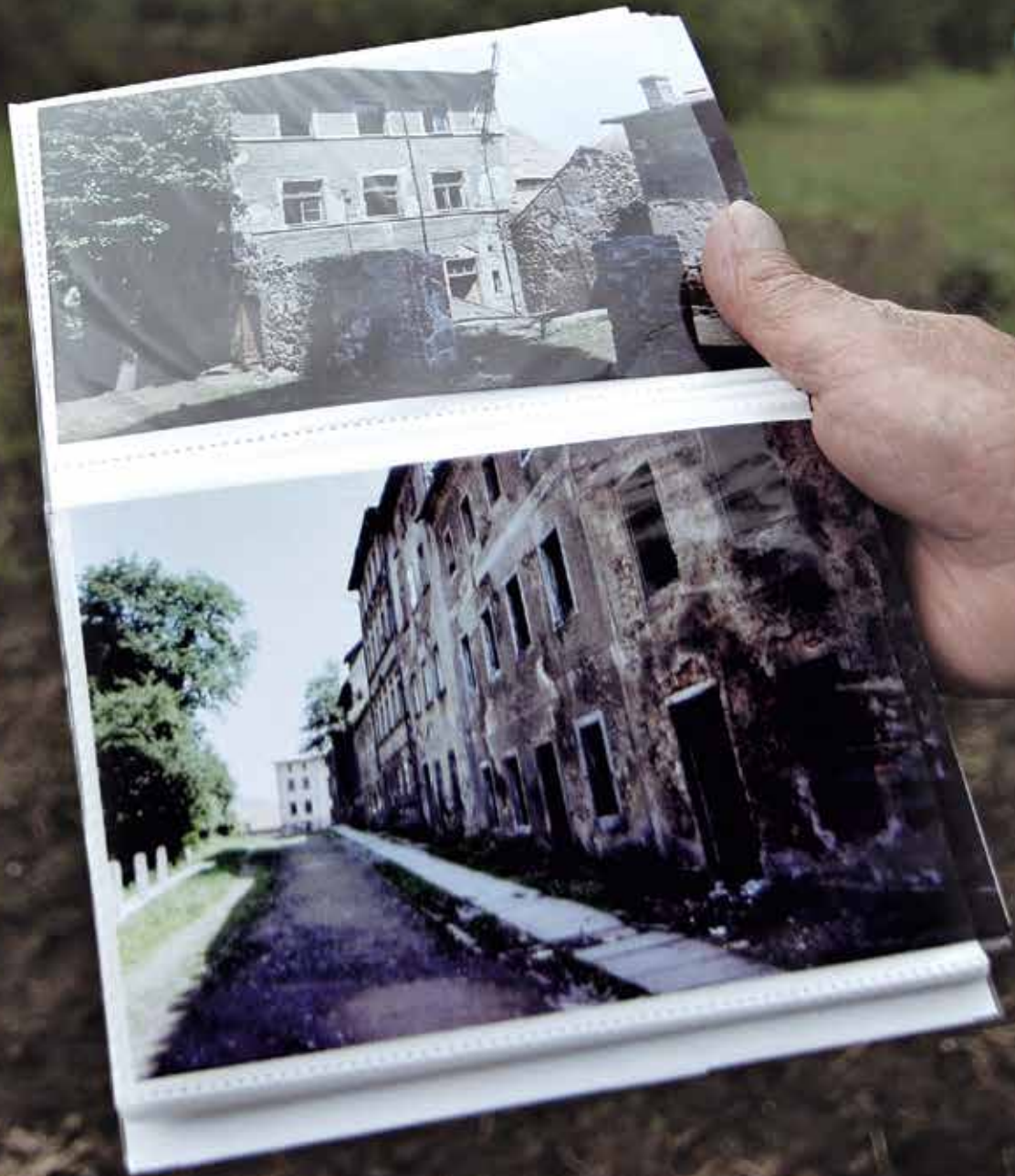
Dość łatwo tu trafić, choć nikt tu nie chodzi. Wystarczy wysiąść na stacji Janowice Wielkie. Miejscowość jest mała, ale zatrzymują się tu niemal wszystkie pociągi kursujące na trasie Jelenia Góra – Wrocław. To samo serce Rudaw Janowickich i najlepsza baza wypadowa na pobliskie szczyty. Jest tu niewielki kiosk z historyczną wystawką i pomniemiecki pałac zaadaptowany na ośrodek pomocy społecznej. Przeciętą wizyta w Janowicach Wielkich nie trwa długo.

Z dworca trzeba pójść w lewo, minąć urząd gminy, a potem wzdłuż torów pomaszerować pod górę. Można pojechać rowerem, droga jest równa, asfalt dość stary, ale trzyma się nadzwyczaj dobrze. Aż dziw bierze, bo ta droga prowadzi tak naprawdę donikąd.

Filip Springer

Historia znikania

Miedzianka znikła. Tam gdzie kiedyś stały dwa kościoły, browar, trzy restauracje i kilkadziesiąt kamienic, rosną dziś krzaki. Mieszkańcy kilku mizernych chałupek krzątają się po swoich obejściach, nie do końca wiedząc, co się tu tak naprawdę wydarzyło.





ROZWÓJ TRWAŁ TU PRZEZ 700 LAT
Obecna Miedzianka to zaledwie kilka domów i otaczające je łąki i wyrobiska.

Za zakrętem zacznie się podjazd, potem gęsty las nagle się skończy. Tam już będzie Miedzianka – rozwalające się i zamknięte na cztery spusty budynki browaru z czerwonej cegły, żółta willa, zrujnowany dom na zakręcie, potem jeszcze jeden ze świętą figurką. W oddali zamajaczy podejrzenie duża jak na to pustkowie kamieniczka i kościół, też za duży jak na tych kilka chałup stojących w pobliżu. Nic więcej.



FOT. HANNA GEBUS

Sto lat temu było tu inaczej – drogą z Johannesdorfu do Kupferbergu kursowały pierwsze automobile, które często zatrzymywały się przy stacji Shella na zakręcie. Dalej był dziwny, trójkątny rynek z równymi rzędami kolorowych kamieniczek. W rynku trzy knajpy, w knajpach panowie w surdutach, na stołach kufle, w kuflach piwo. W górnej części rynku stał żółty kościół ewangelicki, w dolnej – biały, katolicki (ten przetrwał).

Na tyłach kamienic był cmentarz. W kilkunastu zakładach rzemieślniczych wrzała praca.

Dziś w miejscu tego wszystkiego pasą się w wysokiej trawie krowy. Zniknęły kamieniczki, kościół, zakłady, ludzie. Dziś jedynie można się potknąć o cegły, idąc przez łąkę, która kiedyś była rynkiem.

BUTELKA I INNE DOWODY

Jest jeszcze jeden dowód tego, że Miedzianka naprawdę istniała. Dość blahy, bo to raptem korek od butelki. Dostałem go od mieszkańca pobliskich Janowic Wielkich – Zbigniewa Pawęski na koniec naszej rozmowy. Przez cały czas bawił się nim, obracał w palcach, delikatnie stukał o blat stołu, tuż obok mikrofonu, w taki sposób, że musiałem zastanawiać się nad tym, czy nie robi tego specjalnie. Na koniec powiedział, że to dla mnie, a ja udałem zaskoczenie i przez chwilę grzecznie oponowałem. Zapytałem, skąd go ma.

– *Po prostu mam* – odpowiedział. Zaraz potem zapewnił, że dla niego to nie jest żadne poświęcenie i żadna ofiara: – *ja jeszcze sobie taki znajdę*.

A zatem korek. Za stary, by traktować go jak pospolity śmieć, za młody, by uznać za zabytek. Bryłka porcelany z czerwonym emaliowym napisem: Kupferberger Brauerei. G. Franzky. Żadnej daty, nic więcej. Uszczelkę szlag już trafił, tak samo metalowy kabłąk, którego resztki tkwią jeszcze w otworze.

Korek jest dowodem, że Miedzianka naprawdę istniała, że było tu całe miasto, a jej najważniejszym zakładem był browar.

W 1999 roku w Niemczech ukazała się powieść „Kupferberger Gold” (Złoto Miedzianki). Napisał ją Heinz Kornemann, dobroduszny jegomość z siwą brodą i przenikliwym spojrzeniem. Jako kilkuletni chłopiec wyjechał z tych okolic w ramach akcji wysiedlania Niemców po wojnie. Sentyment do tych stron mu jednak pozostał. Gdy w Polsce upadł komunizm Kornemann wrócił, by sprawdzić, co zostało z jego ukochanych miejscowości.

– *Jechaliśmy od strony Janowic. Tam wspomnienia odżyły, a tutaj, w Miedziance umarli. Mojego Kupferbergu już nie ma* – mówi.

Właśnie dlatego napisał tę powieść. To historia miłosna z doskonałym tutejszym piwem w tle.

Tajemnica jego sukcesu tkwi, tak przynajmniej twierdził Ewald Franzky, założyciel browaru, w doskonałej wodzie tryskającej z wnętrza góry, na szczycie której stało miasteczko. W „Wanderer im Riesengebirge”, lokalnej gazecie wydawanej w Hirschbergu w XIX i na początku XX wieku, pojawił się nawet obszerny artykuł autorstwa profesora Liebreicha traktujący o zdrowotnych właściwościach wody bijącej z tutejszego Źródła Juliana. Z kolei inny znawca wód, profesor Wilhelm Windlich, wielokrotnie badający tutejsze ujęcia ważył się wystąpić z odważną tezą, że woda w Kupferbergu jest równie dobra jak ta ze słynnego ujęcia Pilsner Urquell.



FOT. FILIP SPRINGER

OMIJANE PRZEZ WIELKĄ HISTORIĘ

Historia nigdy tu na dobre nie zawitała, raczej wśląsała się po okolicy. Kupferberg powstał, bo wewnątrz tej niewielkiej góry wznoszącej się majestycznie nad Bobrem skrywa rudy licznych metali. Najwięcej było tu zawsze miedzi (stąd też nazwa miasteczka). Niektórzy szczęśliwcy próbowali tak-

EINE KLEINE STADT

W międzywojniu mówiono o Miedziance, że jest to najmniejsze miasto w Prusach.



FOT. DAMIAN SĄDOWSKI

TU ZADZIAŁAŁO PRAWO

W latach 1960. władze podjęły decyzję o całkowitej likwidacji osady. Wysadzono w powietrze kościół ewangelicki i wprowadzono zakaz remontu domów.



MIEDZIANE LATA

Już od XII wieku wydobywano tu rudę żelaza, srebra, a potem miedzi. W latach 1520. istniało tu 160 szybów i sztolni. Szukano tu nawet złota, a Rosjanie uranu.

że szukać srebra, złota i cynku. Co kilkadziesiąt lat w okolicy pojawiał się nowy przedsiębiorca, badał powierzchniowe wykwyty rud i dochodził do wniosku, że warto tu otworzyć kopalnię. Kłopot jednak w tym, że okoliczne złoża mają taką specyfikę, że tylko w części powierzchniowej są bogate. W głębi góry ich obfitość znacznie spada. To pułapka, w którą wpadli wszyscy chcący się na Kupferbergu dorobić.

Wielkie wojenne zawieruchy zwykle omijają miasteczko. Tylko w czasie wojny trzydziestoletniej jego mieszkańcy musieli się kryć w okolicznych lasach. Potem było spokojniej. Ale nie zawsze – 12 października 1824 roku żona białoskórnika Manschego mieszkającego w domu pod numerem osiemdziesiątym czwartym tak mocno przypiekała nad ogniem poć słoniny, że ten się zapalił. W kilkunastogodzinnym, szalejącym w całym mieście pożarze, spłonęło 67 domów, oba kościoły i przy-

gające do nich szkoły, a także szpital i ratusz wraz z niemal całym archiwum, siedziba Królewskiego Urzędu Górniczego Księstwa Schweidnitz i Jauer, oraz stodoły z plonami i zapasami zgromadzonymi na zimę.

W ciągu jednej nocy cały swój dobytek straciło 146 rodzin – 503 osoby. Spośród dymiących jeszcze zgłiszczy dolnej części miasteczka i poczerniałych od ognia traw na jego obrzeżach wystawały jedynie dwa kamienne krzyże. *Memento* – pamiętaj. Trudno powiedzieć jednak, czy ktokolwiek w tych tragicznych dniach myślał o kłątwie.

Miasteczko podniosło się z upadku i trwało. W czasie obu wojen światowych nie spadła na nie ani jedna bomba, nie toczyły się tu żadne walki. Historia nadal omijała dobrotliwie Kupferberg, a fronty przechodziły gdzieś obok. Armia Czerwona wkroczyła do Kupferbergu bez jednego wystrzału.



FOT. FLIP SPRINGER

FOT. FLIP SPRINGER

– *Pierwszym czerwonoarmistą jakiego zobaczyłem w miasteczku był pijany w sztok żołnierz z karabinem uwieszonym na sznurku – wspomina Karl Heinz Friebe, jeden z tych, którzy wyjechali stąd zaraz po wojnie.*

I właśnie wtedy, w 1945 roku kiedy wszystko się kończy, a działa milkną, zaczyna się prawdziwy koniec Kupferbergu. Miasteczko należy już do Polski i, zanim zniknie, nazywać się będzie Miedzianka.

KOPALNIA ŚCIŚLE TAJNA

Takich tuneli, jak ten, jest tu niezliczona ilość. Dosłownie, bo wszystkich nikt nigdy nie policzył i nie naniósł na żaden plan. Nie do wszystkich da się wejść, nie do wszystkich też wchodzić warto, jeśli chce się z nich wyjść żywym. Paweł Nowak, miłośnik lokalnej historii, wie jednak gdzie jest bezpiecznie. Do tego korytarza wejdziemy tylko na kilkanaście metrów w głąb. Musimy się jednak zachowywać cicho, bywały przypadki, że podniesione głosy wywoływały gdzieś tam w dali zawały i tąpnięcia.

– *Szalowali to beznadziejnie albo nie szalowali w ogóle, szli za rudą, drążyli tunel, nie patrząc, dokąd zmierzają ani co jest nad nimi. Dlatego miasto musiało zniknąć – tłumaczy.*

Oni to rosyjscy inżynierowie i polscy górnicy. Pojawili się w Miedziance zaraz po wojnie, a w 1948 roku zapadła decyzja, by z wnętrza tej góry wydobyć jeszcze jeden skarb – uran. Korytarz, do którego prowadzi mnie Paweł Nowak jest pozostałością po ściśle tajnej kopalni w Miedziance, która weszła w skład Zakładów R-1 wydobywających dla ZSRR uran w całej Kotlinie Jeleniogórskiej. W oficjalnych statystykach kopalnia ta figurowała jako papiernia. Pracujących tu górników obowiązywała tajemnica, przed wyjściem z zakładu kontrolowani byli przy pomocy liczników Geigera czy nie wynoszą cennego urobku. Wśród pracowników kopalni aż roiło się od konfidentów i agentów bezpieczeństwa. Na kogo padł cień podejrzenia o zdradę tajemnicy – ten zniknął. Zwykle otrzymywał nakaz wyjazdu do innej części Polski w ciągu jednej doby. Ale wśród górników krążyły też opowieści, że niepokorni kończą z kulą w głowie na końcu wyeksploatowanego chodnika. Nagrodą za milczenie były pieniądze – nikt w okolicy nie zarabiał tyle, co pracownicy kopalni.

Tak jak i poprzednio, wielkie nadzieje okazały się płonne. Uranu było tu niewiele, wydobywania przestano w 1952 r. Cztery lata niekontrolowanego drażnienia tuneli wystarczyło jednak, by wszystko to, co znajdowało się nad nimi, zaczęło jęczeć. Na okolicznych polach co rusz pojawiały się głębokie na

MIODOWY AUTOBUS

Obecnie w Miedziance tylko pszczoły mają pracę.

kilkanaście metrów rozpadliska, ściany budynków rysowały się, wśród mieszkańców krążyły opowieści o tym, że dachy ich domów śpiewają.

Gdy Rosjanie i górnicy wynieśli się stąd, Miedzianka popadła w ruinę. Któregoś poranka do



DAS IST ROMANTISCHE
Spacer opustoszałymi ulicami Miedzianki ma urok tylko dla ślepo zakochanych.

ówczesnego dyrektora browaru – Jerzego Słowińskiego przyszedł załamany stary Czapla – kierowca browarnianej ciężarówki. Właśnie miał jechać z piwem do Złotoryi, samochód był już załadowany.

– *Nie pojedę, panie kierowniku, ja dziś w ogóle do pracy nie przyjdę. Nie przyjdę, bo mi w ogrodzie czereśnia zniknęła.*

Poszli, popatrzeli. Była czereśnia, nie ma czereśni. Została tylko dziura w ziemi, a w dziurze, jak poświecić latarką, widać było czubek drzewka z kilkoma owocami, których dzieciaki nie zdążyły jeszcze oberwać.

NA STAŁYM GRUNCIE

W 1968 roku „Nowiny Jeleniogórskie” poinformowały, że w Miedziance będą kręcić odcinek „Czterech pancernych i psa”. Argumentów do tego, żeby sięgnąć do miasteczka filmowców, z pewnością nie brakowało. Chyba nigdzie w okolicy nie było tylu ruin, chyba żadne dolnośląskie miasteczko nie wyglądało też tak, jakby przed chwilą skończyło się tu bombardowanie. I to wszystko w miejscu, na które nigdy żadna bomba nie spadła. W ciągu dwóch dekad od zakończenia wydobywania uranu w ruinę popadają: ewangelicki kościół, pałac hrabiego wraz z otaczającym go parkiem, kamieniczki w rynku, zabudowania zamkniętego w 1972 roku browaru. Nieużywany poniemiecki cmentarz zarasta krzakami. Kto może ucieka z Miedzianki – do Jeleniej Góry, Wałbrzycha, Wrocławia czy choćby pobliskich Janowic.

– *Trzeba było tych ludzi ratować, trzeba było zapewnić im warunki do życia gdzie indziej, bo tam było to już, jeśli nie niemożliwe, to na pewno zbyt niebezpieczne* – mówi Irena Siuta-Kamińska. To ona podjęła decyzję o przesiedleniu większości mieszkańców na jeleniogórskie Zabobrze, nowoczesne blokowisko na obrzeżach miasta. To ona de facto zdecydowała o końcu Miedzianki. Do dziś wielu w okolicy ma jej to za złe. – *Uważam, że to była jedyna słuszna decyzja, innej w tamtej sytuacji nie można było podjąć* – utrzymuje Siuta.

Tak, nie da się ukryć – Miedzianka jest dziś na Zabobrze, upchnięta do czterech bloków na Karłowicza i kilku następnych na Paderewskiego, Elsnera, Różyckiego. Miedzianka z wielkiej płyty, na pewnym gruncie; Miedzianka znów zielona, wśród drzew i z wrzaskiem dzieciarni w tle. Wszystko to siedemnaście kilometrów od walącego się wzgórza, które zarasta krzakami i trawą. Od miejsca, w którym było całe miasto, ale dziś go nie ma.

ŚLIWA PAMIĘTA

Zdarzyło się parę razy i nadal się zdarza, że Paweł Nowak stawał na środku tej łąki i wyobrażał sobie kamienie, strome uliczki, dwie wieże kościoła, gwar wydobywający się z okien gospody, krzyk dzieci wybiegających ze szkoły czy wesołe pokrzykiwania kamieniarzy z zakładów. Wszystko w niemieckiej wersji językowej. Potem otwierał oczy i nie widział już nic poza kępą zieleniny i śmieciami w przydrożnym rowie. Czasem przy kościele widział samochód na niemieckich blachach, chciał nawet podejść i powiedzieć, żeby tu nie parkowali.



Aby ją zobaczyć, trzeba wejść w pokrzywy. Na tej tabliczce, nie większej od paczki papierosów, ktoś napisał: „Erinner die Leute von Kupferberg”, czyli: „Pamięci ludzi z Kupferbergu”. *Wyobrażam sobie to tak: przyjechali, rozejrzeli się, poznali tylko to drzewo. Wyobraź sobie, że wszystkiego, co tutaj było, z tych domów, kościołów, restauracji rozpoznali tylko jedno drzewo. Nic więcej. Więc zostawili to i odjechali.* ○

„PAMIĘCI LUDZI Z KUPFERBERGU”

Oni tu już nie wrócą.

Nie dalej jak kilka lat temu ziemia między szosą a świątynią zapadła się na kilkanaście metrów w głąb, aż strach było patrzeć w tą czeluść. Kościół tylko cudem to przetrwał.

Jest w Miedziance takie stare drzewo, do którego Paweł prowadzi tylko niektórych. Trzeba minąć browar, a potem zaraz za zakrętem, zejść z szosy na pełną drogę prowadzącą do jednego z gospodarstw. Przy niepozornej, zdziczałej śliwie należy się zatrzymać.

– *Chcę, aby drzewo rosnęło sobie w spokoju* – mówi. Jeśli dokładnie przyjrzeć się pniu tej śliwy, dostrzeże się z pewnością blaszaną tabliczkę, przykręconą w taki sposób, żeby nie było jej widać z drogi.



Filip Springer jest reporterem i fotografem, współpracuje z największymi polskimi tytułami prasowymi. Jest członkiem Kolektywy Fotografów Visavis.pl, stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w kategorii literatury w roku 2010. Przez ponad dwa lata szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego miasteczko z siedmioletnią tradycją zniknęło z powierzchni ziemi. Miedzianka. Historia znikania jest jego pierwszą książką reporterską.

STASIO NA MADAG

Jarosław Szczepankiewicz

Dlaczego Madagaskar? Bo Stasio ma 7 lat i obejrzał już obie części animowanego filmu „Madagaskar” oraz „Boso przez świat – Madagaskar” Wojciecha Cejrowskiego. Teraz trzeba sprawdzić czy to, co tam opisują, to prawda... Podróż ze Stasiem to podróż po świecie Stasia. Cele ustalił sobie w Polsce: kupno naftowej lampki z puszki po koncentracie i przejażdżka pousse-pousses, jak w „Boso przez świat”.



ASKAR

MIASTO TYSIĄCA

Antananarywa to stolica, a zarazem największe miasto Madagaskaru. Zostało założone w roku 1625 przez króla Andrianjaka. Nazwa oznacza Miasto Tysiąca – wzięło się od tysiąca żołnierzy, którzy stali na straży miasta.



Uważnie planuję podróż pod kątem potrzeb Stasia. Powierzchnia wyspy jest prawie dwa razy większa niż Polski, a sieć dróg 12 razy mniejsza, z czego większość do niczego. Czeka nas zatem trochę samochodu, trochę samolotu, trochę odpoczynku.

Wiele osób w Polsce wie o malarii i żółtej febrze na Madagaskarze, ale mało kto słyszał o egzotycznych, przyprawiających o dreszcz chorobach, jak chikungunya i denga, roznoszonych przez dobrze znane komary. W podróżniczym niezbędniku Stasia: malarone, antybiotyki i muga. Ponadto: konsola PSP, przenośny odtwarzacz DVD, wodoodporny aparat fotograficzny i e-book. Wszystko w plecaku ze wzorem Spider-Mana. A w kieszeni trochę lokalnych pieniędzy (które Staś nazywa wariatami, bo ma trudność z wyceną ich wartości wobec PLN), aby kupić, gdy nadarzy się okazja, lampkę naftową z puszki po koncentracie pomidorowym...

MAM DWIE WIADOMOŚCI

Lot Kenya Airways Nairobi-Antananarywa. Napięcie lekko rośnie, kiedy zauważam, że Stasio sprawdza rozmieszczenie wyjść ewakuacyjnych i wczytuje się w instrukcję obsługi maski tlenowej. Po pierwszych turbulencjach, z uśmiechem nachyla się i szepcze:





– Mam dla Ciebie dwie wiadomości. Jedną dobrą i drugą złą. Dobra to ta, że lądujemy, a zła, że awaryjnie – to cytaty z filmu „Madagaskar II”.

Jesteśmy w Antananarywie, stolicy kraju. Malgaskie jedzenie króluje na trotuarach: ryż, kurczaki, samosy, placki. My zajadamy się w restauracjach, po francusku. A tam: beignets de crevettes, galettes et brochettes de fruits de mer, calamars sautés... A potem – to zdecydowanie dobra wiadomość dla Stasia – albo mousse au chocolat, albo crème caramel, albo lody z najprzedniejszej na świecie wanilii.

POLISH CONNECTION

Ruszamy do Andasibe National Park i Perinet Park. Po drodze dyskutuję z przewodnikiem, młodym i sympatycznym Malgaszem, alternatywną historię wyspy. Co by się stało, gdyby podpułkownik Maurycy Beniowski utrzymał swój tytuł króla (ampansakebe) wyspy? Co by było, gdyby major Mieczysław Lepecki przekonał polski rząd do jej

kupienia? Przewodnik odpowiada, że wolałby to niż francuski kolonializm. Nie jestem jednak do końca przekonany, czy Polska na Madagaskarze to najlepszy pomysł... dla wszystkich. Mnie wystarczy to, że jedna z głównych ulic Antananarywy nosi nazwisko Beniowskiego.

WAKACJE Z DUCHAMI

Najpierw, jadąc samochodem, mijamy rozentuzjasmowany tłum podrzucający worek, a w nim – ku lekkiemu zdziwieniu Stasia – kości rodziców. Na Madagaskarze umiera się raz, ale grzebanym jest się wiele razy. Dzieci wyjmują szczątki przodka z grobu po pięciu-sześciu latach i powtórnie owijają je w nowe płótno (to famadihana, czyli ceremonia wymiany ubrania na nowe). W ten sposób tata lub



FOT. JAROSŁAW SZCZEPANKIEWICZ



FOT. JAROSŁAW SZCZEPANKIEWICZ



FOT. JAROSŁAW SZCZEPANKIEWICZ

mama osiąga status przodka. Przy okazji obnosi się szczątki publicznie i można sobie zrobić family photo...

Później, płynąc pirogą w kanionie rzeki Manambolo oglądaliśmy szczątki przodków ułożone na skalnej półce przez starożytne plemię Vazimba. Przewodnik zakazuje Stasiowi pokazywać je palcem. Przodkowie mają moc i mogą ukarać śmiałka. Tego sobie nie życzymy, więc pilnujemy palca wskazującego prawej ręki Stasia...



LEMURY ORAZ INNA PRZYRODA OŻYWIONA

W Andasibe, choć wypatrujemy lemura z ogonem w prążki, słynnego Króla Juliana z filmu Madagaskar, samozwańczego władcy dżungli, to sercem Stasia zawładnął szary bambusowy lemur. To, na oko pomieszanie niedźwiadka z małpka,

skacząc po Stasiu, uprzejmie wyprasza kawałki bananów za przywilej poczochniania jego puszystej rudawej czupryni.

– *Tatusiu weźmy go do Polski. On jest taki słodziutki!* – słyszę. Po chwili Staś bierze do ręki gekony i kameleony. Kameleony trochę zmieniają kolor, ale nie do końca jest on taki, jak barwa podłoża. – *Tatusiu weźmy sobie takiego do Polski – słyszę znów.* Staś bawi się też „pomidorową żabą”, podnosi „promieniejącego żółwia”, owija na rękę „drzewnego boa”. Gdy oglądamy krokodyla nilowe, znowu słyszę Stasia, ale brzmi już inaczej.

– *Patrz tato, jaka franca.... Patrz predator, serious forfiter....* – hit filmowy Youtube „Forfiter” najwyraźniej dotarł na Madagaskar, bo nasz malgaski przewodnik skręca się ze śmiechu. To wystarczy za komentarz w sprawie globalizacji mediów.

W Perinet Park tropimy z sukcesem indri indri, największe żyjące lemury na świecie. Stasio nagrywa na aparacie fotograficznym ich przerażające, dwuminutowe zbiorowe wycie. Choć indri ma około 1,2 m wysokości i waży 9 kg, to znacząco ustępuje wymarłemu lemurowi archoidris, który miał 1,5 m wysokości i ważył 200 kg!

MAŁY KSIĄŻĘ O BOA I BAÓBABACH

Boa w „Małym Księciu” Antoine de Saint-Exupéry’ego połknął słońca. Boa na Madagaskarze są jednak tak małe (tylko do 2 metrów długości), że mogą zjeść, co najwyżej, lemura.

Saint-Exupéry wytłumaczył Małemu Księciu, że baobaby to nie są krzewy, ale drzewa. Na Madagaskarze występuje 6 gatunków baobabów (rodzina Adansonia). Sprawa chyba jednak nie jest tak oczywista, gdyż nasz przewodnik tłumaczy nam, że to nie są drzewa, bo nie mają typowych sło. Nie wiem, czy zagłębianie się w niuanse botaniki ma jakiegokolwiek znaczenie dla Stasia, przecież dla niego ziemia jest płaska, a baobaby to drzewa, bo są duże.

W drodze do Tsingy zatrzymujemy się w Alei Baobabów, by podziwiać zachód słońca. Mało dla mnie to wszystko romantyczne. To przykład dewastacji środowiska. Z lasu tropikalnego ocalały tylko baobaby – nie nadają się na opał, bo mają miękkie i gąbczaste drewno. Stasiu podśmiewuje się z par fotografujących się na tle baobabów.

– *Zakochana para, Jacek i Barbara...*

TSINGY, CZYLI „I LIKE TO MOVE IT, MOVE IT”

Droga z Mondoravy do Bemaraha Park to katastrofa. Jakies sto kilometrów, jak dojazd do PGR-u w Bieszczadach. Stasio wymiotuje. Choroba lokomocyjna. Teraz to Madagaskar w pełni zasłużył sobie na historyczną, protomalajską nazwę Madagasi-kara, czyli Kraniec Ziemi.

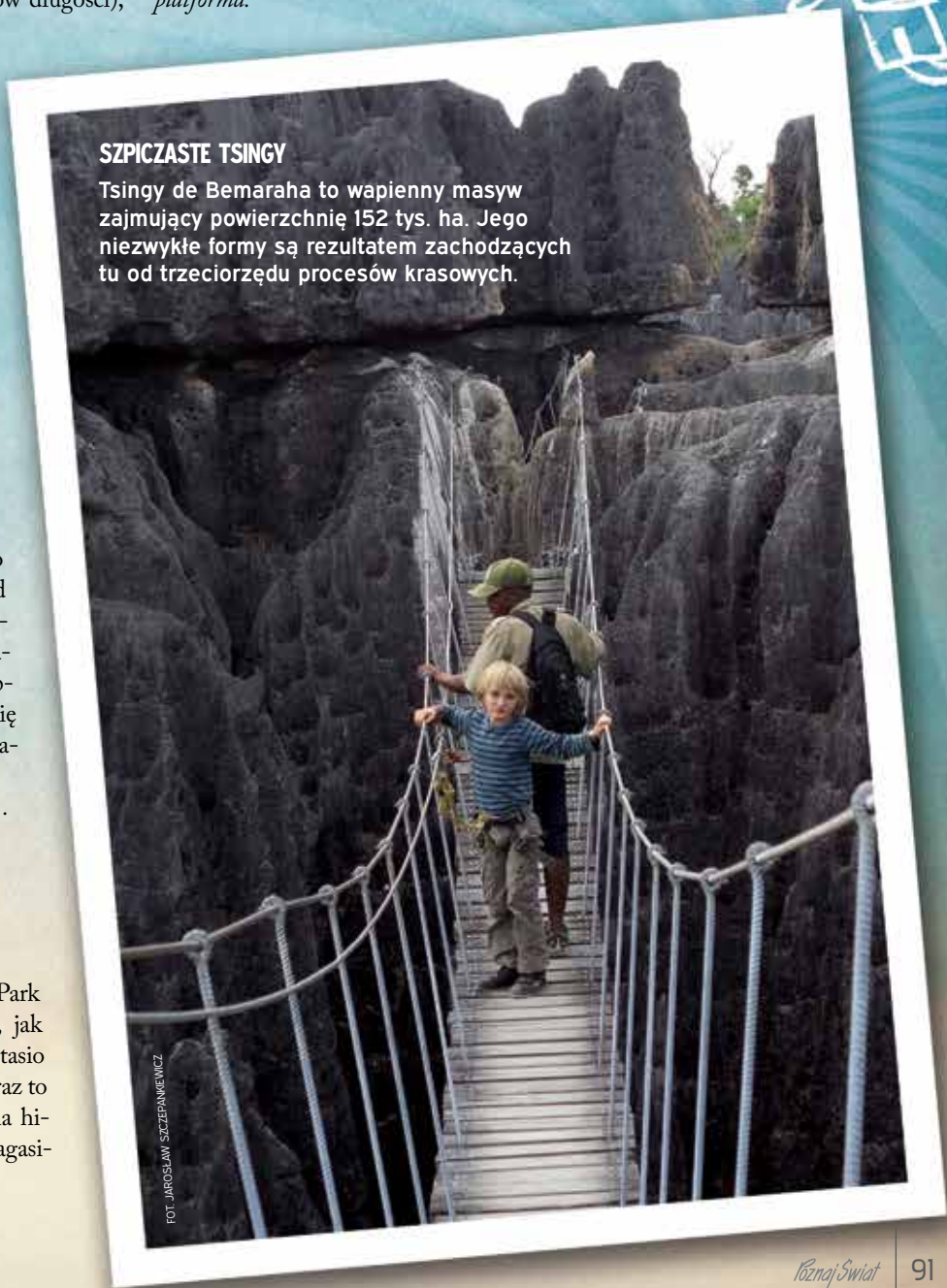
Nareszcie w Tsingy. Zaczynamy się wspinać, najpierw łagodnie, potem ostrzej, na wysokość 170 m n.p.m. Może się to komuś wydawać mało, ale dla nas to jest akurat. Te strome szpiczaste iglice, przeorane jaskiniami, są na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Stasio, podpięty do wspinaczkowego sprzętu, wspina się, jak lemur po drzewie, na 15-metrową ścianę. Widzi, że mama zaczyna mieć wątpliwości, czy wyprawa do Tsingy jest najlepszym pomysłem taty na Madagaskar. Stasio spogląda w dół.

– *Mamo nie bój się. Chodź. Patrz. Ja się nie boję, a jestem mniejszy. Nie masz odwrotu. Zaraz będzie platforma.*



SZPICZASTE TSINGY

Tsingy de Bemaraha to wapienny masyw zajmujący powierzchnię 152 tys. ha. Jego niezwykle formy są rezultatem zachodzących tu od trzeciorzędu procesów krasowych.



FOT. JAROSŁAW ŚCIEPIANIEWICZ



Bezblędne zmotywowanie. Mama wspina się z ciężkim sercem.

Nasz kierowca Jo-Jo, dwa metry wysoko-ści, słuszną wagą, podarte dżinsy i koszulka z Comandante Che Guevara.

– *Lubisz go?* – pytam, wskazując na wizerunek Che.

– *Tak. I Kaddafiego też* – odpowiada. No tak. Ta charakterystyczna afrykańska solidarność z każdym Afrykaninem, którego „Zachód” potępia. Mengistowie, Mugabowie, Mobotowie, Taylorowie, Amindadowie, Saidbarrowie, Gbagowie, Kaddafiwie... – *Wszyscy oprawcy Afryki. Nie lękajcie się! Afrykański lud za wami murem stoi! Hasta la Victoria Siempre!*

– *Kup sobie lepiej koszulkę z Billem Gatesem. Ten to ma pieniądze i dobrze żyje. Che Guevara i Kaddafi już zostali zabici* – radzę Jo-Jo.

SUN, SAND & SEA, CZYLI SMUTEK TROPIKÓW

Według planu wycieczki mamy relax on the beach in Morondava. Tego nam potrzeba po powrocie z Tsingy. Stasio goni kraby po plaży. Ja odrabiam lekcje z architektury, budując z nim zamek z piasku. Wieczorem, na plaży i przy zachodzie słońca raczymy się z Aldoną rumem z fantą ananasową, przy silnych protestach Stasia, który broni swego cennego ananasowego napoju przed marnotrawstwem rodziców.



FOT. JAROSŁAW SZCZEPANKIEWICZ



FOT. JAROSŁAW SZCZEPANKIEWICZ

MAŁPIE DRZEWO CHLEBOWE

To potoczna nazwa na baobab, którego drewno jest miękkie i gąbczaste. Baobaby są symbolem Madagaskaru, występuje tu aż 6 gatunków. Malgaszę mówią, że to drzewo rośnie korzeniami do nieba.

BYE, BYE

Wyjeżdżamy. Nie mamy malarii, chikunguny i dengi. Stasio wśród swoich nowych skarbów ma za to: zdjęcie, lampkę na olej z puszki po koncentracji pomidorowym (made in Italy), amonity, owoc baobabu, strąk liany, zasuszone motyle, muszle po gigantycznych ślimakach i, co najważniejsze, niedostępne w Polsce dwie butelki 1,5 litrowej ananasowej fanty. ○

Centrum Kuracyjne

KOLECZKOWO



REHABILITACJA - SPA AKTYWNY WYPOCZYNEK

Zastanawiacie się Państwo nad wyborem profesjonalnej Kliniki Rehabilitacyjnej, w której podczas leczenia można spędzić miłe chwile, odpocząć, odprężyć się. Zapraszamy do zapoznania się z ofertą Centrum Kuracyjnego Koleczkowo położonym w sercu Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego.

Leczymy choroby kręgosłupa, narządów ruchu, bóle głowy, otyłość, nerwobóle i dyskopatię w nowoczesnym gmachu z windą, gabinetami zabiegowymi, salami gimnastycznymi - rehabilitacyjnymi i salonami hydroterapii.



www.centrumkuracyjne.pl

Centrum Kuracyjne Koleczkowo ul. Pod Lasem 1, 84-207 Koleczkowo, tel/fax 58-622-55-54



Na niedawnym spotkaniu z czytelnikami pewien młody człowiek zapytał mnie czy powodem biedy Afryki jest kolonializm.



PIĘTNO

Ciężka sprawa: odpowiem, że nie, to stanę uznany za zwolennika imperializmu i wyzysku Afryki. Powiem, że kolonializm winny, to zaraz niejeden wykształcony czytelnik spyta: a kto wybudował linie kolejowe w Kenii, kto wykształcił Senegalczyków, kto zbudował drogi, szkoły i szpitale dla czarnych na (prawie) całym kontynencie? A ja będę musiał odpowiedzieć, że kolonizatorzy, niestety. I tak źle, i tak niedobrze. Czyli jak zwykle.

Na korzyść kolonializmu świadczy jeden

ważny fakt – w większości Afryki skończył się 50 lat temu z okładem. Jeśli po pół wieku rządów czarnych (zostawmy na boku RPA i Zimbabwe – tam biali nie byli kolonizatorami, raczej bronili kraju przed najeźdźcami z Europy) bieda w Afryce ciągle istnieje i ciągle pytamy co jest jej powodem, to znaczy, że nie może nim być wyłącznie kolonializm, tylko jest coś innego.

W Nairobi spotkałem Johna Githongo, którego prezydent Kibaki powołał przed laty na stanowisko szefa urzędu antykorup-

cyjnego. Niedługo po podjęciu pracy John musiał uciekać z Kenii obawiając się o swoje życie, bo poważnie potraktował zadanie i szybko doszedł do wniosku, że głównym szefem mafii korupcyjnej w Kenii jest prezydent (do dziś panujący). John Githongo nie ma wątpliwości – głównym powodem biedy w Afryce jest korupcja jej polityków.

Do tego można dodać jeszcze kilka innych powodów: uzależnienie od pomocy zagranicznej, która zamiast polepszać dołę ludzi niszczy lokalne rynki, rozpieszcza

władze i uzależnienia mieszkańców Afryki od jałmużny; protekcjonizm Europy i Ameryki, który powoduje, że normalna wymiana handlowa staje się niemożliwa; subsydia dla rolników i innych producentów na Zachodzie (na każdą krowę w Unii Europejskiej płacimy 2,5 dolara dziennie dotacji – większość ludzi w Afryce musi się utrzymać za mniejszą kwotę), które praktycznie wykluczają Afrykę z rynkowych procesów globalizacji.

To wszystko prawda, ale pytanie o skutki kolonializmu regularnie wraca i nie przestaje nas dręczyć. Kolonizacja jest dla wielu ludzi złem tak oczywistym, tak przerażającym i tak konsekwentnym, że pozostałe powody biedy Afryki wydają się przy nich miłątkie i nudne jak biurokratyczne wykresy.

Chyba słusznie nas dręczy. Kolonializm ciągle, przynajmniej częściowo, kształtuje Afrykę i nasze o niej myślenie. Są powody natury psychologicznej – całe pokolenia Afrykanów wychowane w poczuciu niższości i uległości rzutują na myślenie i zachowanie kolejnych generacji. Są też powody natury bardzo praktycznej: mechanizmy stworzone w czasach kolonialnych nie dają się odkręcić, nikt się tym nie zajmuje, bo nikomu, zarówno byłym kolonizatorom, jak i obecnym władcom Afryki, na ich odkręceniu nie zależy.

Tak, są kraje w Afryce, które nie pozbyły się piętna kolonializmu i nie ma nadziei, że zrzucą go w dającej się przewidzieć przyszłości. Zwłaszcza o jednym myśle: Demokratycznej Republice Kongo. W chwili, gdy piszę te słowa trwa liczenie głosów po wyborach powszechnych i prezydenckich. Jest duża szansa, że kiedy tekst ukaże się w druku w DR Kongo trwać będzie mniej lub bardziej otwarta wojna między zwycięzcami i przegranymi wyborów. W Kongo wojna trwa od prawie 20 lat i końca jej nie

widzieć, a jej prapoczątkiem jest właśnie kolonializm. Ścisłej mówiąc – rządy europejskich barbarzyńców, którzy na przełomie XIX i XX wieku uczynili z Kongo jeden wielki folwark belgijskiego króla Leopolda II. Leopold przekonał Europę, która rozczłonkowała Afrykę na konferencji w Berlinie w 1885 roku, że w celu krzewienia cywilizacji oraz religii chrześcijańskiej powinien on przejść całkowitą kontrolę nad obszarem wielkości 2/3 Europy. Skończyło się to spłodowaniem Kongo, wymordowaniem 10 milionów jego mieszkańców i unicestwieniem lokalnej kultury i cywilizacji (opisuje to m. in. Mario Vargas Llosa w ostatniej swojej książce „Marzenie Celta”). Co gorsza, ten proces z niewielkimi przerwami trwa nadal.

Po uzyskaniu niepodległości Kongo trafiło w ręce jednego z najbardziej okrutnych, skorumpowanych i szalonych dyktatorów afrykańskich (w każdej z tych dziedzin w Afryce istniała wspaniała konkurencja) Mobutu Sese Seko. Gdy jego czas się skończył kraj stał się areną dwóch wojen, w których zginęło co najmniej trzy miliony ludzi (dokładnej liczby nie da się ustalić) i w której uczestniczyło co najmniej osiem krajów afrykańskich. Każdy z nich, podobnie jak kiedyś Leopold II uważał Kongo za swój własny folwark, a ludzi za mięso armatnie.

Przekleństwem Kongo są jego złoża miedzi, złota, cynku, koltanu, diamenty i kasyteryty. Zwłaszcza Rwanda i Uganda od wielu lat walczą do ostatniego Kongijczyka o panowanie nad tą obfitością, bo zyski z kongijskich surowców stanowią niebagatelne wpływy do ich budżetów. Nikomu nie zależy, by sytuacja w Kongo ustabilizowała się, by powstał normalny rząd i instytucje państwa, bo w chaosie łatwiej kraść.

Gdyby ktoś chciał być dowcipny i iro-

niczny mógłby pewnie powiedzieć, że powodem biedy Demokratycznej Republiki Kongo jest bogactwo. Z tym, że mnie jakoś na dowcip nie stać, kiedy przypomnę sobie wizyty w Gomie i okolicznych wsiach, w których grasują oddziały morderców, gwałcicieli, podpalaczy terroryzujących tysiące ludzi. Grasuja bezkarnie, na oczach całego świata – to znaczy odbywałoby się to na oczach całego świata, gdyby ktokolwiek rzeczywiście interesował się nędzą Kongijczyków.

Zaraz, zaraz, czy w Kongo nie stacjonuje przypadkiem największy (20 tysięcy żołnierzy) i najdroższy (1,5 mld dolarów rocznego budżetu) kontyngent wojskowy ONZ na świecie? Owszem stacjonuje. I jakie ma osiągnięcia? Ano takie, że gwałty i morderstwa nie odbywają się w dużych miastach (to mogłoby jednak zaniepokoić tzw. opinię międzynarodową) tylko we wsiach położonych na zboczach wulkanów we wschodniej części kraju. Tam nie trafiają nawet najbardziej odważni dziennikarze, a jeśli trafiają, to i tak nikt się nie interesuje losom ofiar, bo nikt nie ma pomysłu jak skończyć w bezprawnym kraju.

90 procent Afryki – jednego z najszybciej rozwijających się dziś kontynentów na świecie – zadaje kłam tym, którzy mówią, że w Afryce nic nie działa, że jej narody skazane są na nędzę, że normalne rządy są w niej niemożliwe. Jednak Kongo pozostaje ogromną czarną plamą nie tylko na mapie, ale i na sumieniu Afryki. Nie tylko Afryki – u korzeni jej tragedii tkwił europejski kolonializm, szlachetna idea, która – jak wszystkie szlachetne idee, których celem jest uszczęśliwienie ludzi na siłę – przyniosła znacznie więcej szkód niż dobra. A jak ktoś nie wierzy, to niech odwiedzi Kongo. ○

BAGAŻNIKI BOXY ŁANCUCHY

GDZIEKOLWIEK JEDZIESZ...

GDZIEKOLWIEK JEDZIESZ...



www.taurus.info.pl

LISTA DEALERÓW

Andrychów, „Goliat”, Krakowska 117A, tel. 875 95 01 • **Białystok**, „Gres”, ul. Andersa 56, tel. 662 31 39 • **Bielko-Biała**, „Grafitti”, Stojalowskiego 41, tel. 812 58 45 • **Bydgoszcz**, „Auto Marek Bis”, Marcina Orłowity 25, tel. 373 51 17 • **Chorzów**, „Sklep”, Sycylijskiego 11/2, tel. 0604 911 718 • **Częstochowa**, „Bax”, Warszawska 81/83, tel. 324 55 54 • **Gdynia**, „Auto Tour”, ul. Witomińska 32, tel. 620 32 61 • **Gorzów**, „Sobi”, Raclawicka 2, tel. 729 72 55 • **Jaworzno**, „Sklep”, Wojska Polskiego 15, tel. 616 85 45 • **Jelenia Góra**, „Rabat”, Sobieskiego 19, tel. 752 68 13 • **Kalisz**, „CEKTOP”, Chopina 24, tel. 767 30 30 • **Katowice**, „Taurus Support”, Chorzów, Zielony Zaulek 1, tel. 511 001 077 • „Sklep”, Andrzeja 13, tel. 251 51 63 • „Voyager”, Poleska 29, tel. 252 68 53 • **Kielce**, „Sklep”, Sandomierska 192, tel. 344 64 51 • **Koszalin**, „Franter”, Gnieźnieńska 19, tel. 341 13 33 • **Kraków**, „T.F.T.”, Przybyszewskiego 2, tel. 638 49 48 • „Sklep”, Prądnicka 79, tel. 416 20 08 • **Legnica**, „DIK”, ul. Jaworzynska 118, tel. 862 06 01 • **Leszno**, „Klinika Aut”, Poznańska 12, tel. 500 350 722 • **Lublin**, „Katpol”, Towarowa 5, tel. 746 17 10 • **Lublin**, „Remat”, Borelowskiego 45, tel. 524 05 21 • **Łódź**, „Cubik”, Milionowa 2, tel. 684 06 90 • „Boxcars”, ul. Dąbrowskiego 17/21, tel. 664 223 988 • **Nowy Sącz**, „Polzbył”, Al. Wolności 10, tel. 443 71 35 • **Nowy Targ**, „Bemat”, Wąksmundzka 16, tel. 266 92 26 • **Olštyn**, „Taurus-Car”, Piłsudskiego 12, tel. 535 33 03 • **Opole**, „Sklep”, Partyzancka 65/1, tel. 457 57 07 • „Sport”, Tyściańska 6, tel. 455 23 63 • **Ostrów Wlkp.**, „Sklep”, Guryły, Ostrowska 738, tel. 734 71 27 • **Poznań**, „Taurus Bagażniki”, Głogowska 98, tel. 864 34 19 • „Bagażki”, Wierszowska 10, tel. 867 89 65 • **Pruszków**, „Dibag”, Al. Jerozolimskie 451, tel. 728 19 18 • **Przemyski**, „Box-Bis”, Ostrowska 245, tel. 671 04 08 • **Przycyna**, „Transa-M”, ul. Bratnia 3, tel. 210 12 10 • **Radom**, „Sklep”, Kelles-Krauz 9, tel. 389 56 39 • **Rzeszów**, „Aval Sport”, ul. Lwowska 61, tel. 857 85 80 • „Max”, ul. Witos 15A, tel. 859 50 75 • **Sanok**, „ST Plus”, Krakowska 190, tel. 464 64 44 • **Sosnowiec**, „Box”, Moniuszki 15A tel. 785 51 21 • **Szczecin**, „Moto Akces”, Jagiellońska 27, tel. 484 15 26 • **Tarnów**, „Tarland”, Pracy 9, tel. 621 00 16 • **Warszawa**, „Taurus” – filia, Bitwy Warszawskiej 1920 r. 11, tel. 823 86 36 • „Taurus” – filia, Polczyńska 51, tel. 665 99 24 • „Taurus” – filia, Al. Prymasa Tysiąclecia 76 E, tel. 823 86 36 • „Otobagażniki”, ul. Kasprzaka 29/31, tel. 389 65 47 • „Hossa”, Miedziana 12, tel. 890 09 86 • „All Mot”, Korkowa 44, tel. 815 83 33 • **Wrocław**, „MCM”, Legnicka 62, tel. 351 23 71 • „MCM Mroziński”, Śleźna 146 – obok stacji SHELL, tel. 337 20 73

TAURUS
wherever you go™

ul. Plebiscytowa 200, 43-190 MIKOŁÓW, tel. (32) 322-13-84, 226-07-84

Generalny
przedstawiciel
w Polsce firmy



i wielu innych

PHOTO: TORRELLA



MUZYCZNA OAZA

Piotr Trybalski

Gdy w pierwszy dzień festiwalu stanie się na którejś z wydm, można zobaczyć, jak się zjeżdżają. Wielbłądy niosą cały bajecznie kolorowy dobytek, piesi pędzą kozy. Z kurzu wylaniają się kolejne postacie. Tymczasem czeka już festiwalowa scena, postawiona gdzieś pomiędzy wydmami. Kawalek dalej namioty – białe dla artystów i gości, kolorowe – nieliczne, postawione przez turystów; skórzane, w kolorze ochry rozbite przez Tuaregów.



FOT. PIOTR TRZEBALSKI

JAK TRAFIĆ NA FESTIWAL?

Dojazd na naszego Open'era jest doskonale oznakowany, a i tak wielu pyta o drogę. Może Tuaregowie, którzy bezpiecznie potrafią przebyć piaski Sahary, podążając na Festiwal Pustyni – znają odpowiedź.

Przez Mali prowadzi asfaltowa droga. Łączy stolicę, głośne i chaotyczne Bamako na zachodzie, z położonym 1200 km dalej na wschodzie Gao, miastem, do którego rzadko docierają turyści. Gdyby ktoś chciał pojechać jeszcze dalej na wschód i północ, czekają go przeprawy bezdrożami, pustynne trakty i mijane czasem karawany objuczonych solą wielbłądów. Bamako i Gao łączy coś jeszcze – koryto jednej z najdziwniejszych rzek na świecie – Nigru. Swoją początek bierze w górach, na granicy Gwinei i Sierra Leone, tuż nad Atlantykiem. Następnie, rusza na północ i wdziera się w piaski Sahary, by w końcu przegrać nierówną walkę i zawrócić, przeciąć Niger, Benin i w Nigerii oddać swoje wody Zatoce Gwinejskiej. Ten nietypowy bieg rzeki był dla pierwszych odkrywców Afryki nieodgadnioną zagadką. Skoro rzeki zawsze płyną w kierunku morza, czy zatem jest jakieś morze w środku rozgrzanego, Czarnego Lądu? Gdy w końcu udało się sprawę wyjaśnić, okazało się, że jedyne morze to rozpalone morze piasku – Sahara.

WIELBŁĄDY I BLUES

Na północy i wschodzie pustynne szlaki przemierzają na swoich wielbłądach dumni Tuaregowie, ludzie pustyni, których pochodzenie do dziś nie zostało jednoznacznie wyjaśnione. Nie wiadomo skąd się wzięli, dlaczego żyjąc w tej części Afry-



FOT. PIOTR TRZEBALSKI

ki mają niemurzyńskie rysy twarzy. Wysocy i milczący, kontrastują z dość rozkrzyczaną resztą malijskich plemion: Bozo, Fulani, Soninke. Tuaregowie, podzieleni na klany, przez setki lat kontrolowali cały transsaharyjski handel. Zakrywają głowy i twarze błękitnymi turbanami. Ich ojczyzną jest to miejsce, do którego akurat przybyli, w którym akurat rozbili skórzane namioty. W chwili zagrożenia szybko sięgają po broń. Zepchnięci z bogatych w uran i diamenty terenów na pustynię, gdzie susze dziesiątkowały stada kóz i wielbłądów, nie mieli wyjścia – ruszyli na powstanie. Mimo wielokrotnego zawieszania broni i kolejnych pokojowych deklaracji, na granicy Mali, Algierii i Nigru wciąż jest niespokojnie. Od czasu do czasu słychać jednak dźwięk elektrycznej gitary. Bo taką samą miłością, jak do wielbłądów, Tuaregowie zapalali do tego właśnie instrumentu i monotonnego rytmu tuareskiego bluesa z pustyni.

ECHO ŚWIETNOŚCI TIMBUKTU

Festiwal Pustyni to coroczna impreza, która odbywa się w styczniu, o kilka godzin drogi wielbłądem na północ od Timbaktu. Docierają tu wyłącznie turyści zakochani w muzyce Afryki Zachodniej. Trzeba bowiem dolecieć do Bamako. Potem przez dwa dni w tumanach kurzu przemierzać w dżipie pustynny szlak, by w końcu znaleźć się pomiędzy wysokimi na kilka metrów wydhami. Na miejscu w dzień temperatura sięga 40 stopni, a w nocy spada poniżej zera. Takich zdesperowanych białych doliczyć się można ze cztery setki. Wszyscy są zachwyceni tym, co widzą – kilkutysięczną spontaniczną czarnoskórą publiką, która samochodami, na wielbłądach i pieszo – czasem idąc przez wiele dni – dotarła tu, by przez trzy doby bawić się i świętować.

Spotkania na pustyni zapoczątkowali Tuaregowie w 2001 roku. Siegają one do tradycyjnych, zorganizowanych po zakończeniu okresu wypasu,

spotkań, zwanych takoubelt. Wówczas to wszystkie klany tuareskie zjeżdżały, aby odświeżyć znajomości, bawić się, odpocząć i zażegnać konflikty międzyklanowe. A tych zawsze było sporo. Rozmawiali też o przyszłości, planach, nadziejach i zagrożeniach. Nie bez powodu spotkania zorganizowane są w okolicach Timbaktu. Już za samą nazwą kryje się cały wachlarz skojarzeń. To właśnie

W KOLORZE BLUE

Wśród Tuaregów to nie kobiety, lecz mężczyźni zakrywają twarz. Farbowane turbany pozostawiają błękitny kolor na głowie, nadając Tuaregom nieco tajemniczego i groźnego wyglądu.



FOT. PIOTR TRYBALSKI

tuareskie Timbuktu w czasach kolonialnych było dla „odkrywców” Afryki prawdziwym wyzwaniem. Legendy mówiły o złocie, drogocennych kamieniach, pałacach... Gdy w końcu w 1826 roku dotarł tu Alexander Laing, po złotym okresie, którym dla Timbuktu był wiek XVI, pozostało już tylko wspomnienie. Cudowne miasto okazało się kupa glinianych cegieł. Angielski podróżnik nie wiedział wówczas, że największy skarb stolicy Tuaregów – starodruki – kryje się na wyciągnięcie ręki, w nadgryzionych zębem czasu domostwach, w zasypanych piaskiem schowkach. „Sól pochodzi z północy, złoto z południa, a słowo Boga i skarby mądrości z Timbuktu” – mówi stare przysłowie z tej części Afryki. W okresie Złotego Wieku Timbuktu było najważniejszym miastem Afryki Zachodniej, ważnym ze względu na położenie na szlaku karawan. Ale przede wszystkim ze względu na Uniwersytet Sankore, do którego uczęszczało nawet 25 tys. studentów. Po tamtych czasach zachowało się ponad 150 tys. ręcznie spisanych manuskryptów, prze-

ZAMEK NA PIASKU?

Wielki Meczet w Djenne to największa gliniana budowla na świecie. Palmowe bale stabilizują ściany meczetu i służą jako rusztowanie podczas częstych napraw.



chowywanych w miejscowej bibliotece, z których najstarsze pochodzą z XIII wieku. Dzieła te – traktujące o filozofii, teologii, astronomii, prawie koranicznym czy matematyce – są ważnym dowodem na to, że istniejący tu uniwersytet niczym nie ustępował ówczesnym placówkom w Europie.





OZDOBY PUSTYNI

Piękne i wystrojone, nie zakrywają twarzy i są ciekawe świata. Wśród Tuaregów panuje matriarchat, mimo że większość z nich jest muzułmanami.

MUZYCY PUSTYNI

Nim zaczną się koncerty, Tuaregowie organizują zawody w popędzaniu wielbłądów. Jest głośno i radośnie. Gdy na scenie staje pierwszy artysta, jest już dobrze po zachodzie słońca. To jedyny moment, kiedy można komfortowo słuchać muzyki – piasek jest ciepły, ale upał już nie dokucza. Nie ma tu krzesłek, trybun czy łóż dla VIP-ów. Wszyscy siedzą na piasku, a jedynie Tuaregowie przysłuchują się muzyce, siedząc na wielbłądach. Gdy z głośników padają pierwsze melorecytacje w języku tamaszek, podnoszą się okrzyki, brawa i przeciągłe gwizdy. Kiedy zaś na scenie staje Tinariwen – zespół musi

odczekać dobrą chwilę, nim ucichnie wrzawa. Jeśli komuś wydaje się, że festiwalowe, niepohamowane emocje to wyłącznie domena Glastonbury czy Roskilde, niech przyjedzie na Festiwal Pustyni. Tutaj emocje sięgają zenitu!

Tinariwen znaczy w języku tamaszek „pustynie”. Zespół założyli tuarescy rebelianci, którzy zamienili karabiny na gitary i od 1982 roku grają malijskiego, „pustynnego” bluesa. Grupa jest obecnie najlepszym „towarem eksportowym” Mali. Muzycy Tinariwen głoszą tuareskie idee powrotu do koczowniczego stylu życia, porzucenia granic,



FESTIWALOWA GORĄCZKA

Na Festiwalu Pustyni gra się prawie przez całą dobę, a muzykom nie przeszkadza pustylny upał.

ucieczki z miast na pustynie. W 2002 roku Festiwal odwiedził Robert Plant z Led Zeppelin. Wraz z malijskimi muzykami zagrał na scenie, a utwór „Win My Train Fare Home” pojawił się na festiwalowej składance CD. Po Festiwalu Plant powiedział. – *To było niezwykle przeżycie... Czulem, że to była muzyka, której szukałem przez całe życie.* Rozmawiając z uczestnikami festiwalu ma się wrażenie, że artysta nie jest odosobniony. Wieczorne koncerty kończą się późną nocą. Zostaje jedynie kilka godzin snu, nim poranne słońce bezlitośnie stawia wszystkich na nogi.

OCZY, USZY I USTA PUSTYNI

Taniec, muzyka i śpiew są dla mieszkańców tego regionu nie tylko formą rozrywki, folkloru czy tradycji. To nieodzowny element codzienności: obowiązków, pracy, przemieszczania się, spotkań rodzinnych. Banalne „mieć muzykę w sobie” jest w tym przypadku jak najbardziej trafione.

Choć koncerty zaczynają się wieczorem, na festiwalowym terenie życie wre od samego rana. Stworzone tu bazyry pełne są handlujących. Gdzieś obok Tuareg zarzyna właśnie kozę, którą za chwilę

ŁOŻA VIP-ÓW?

Widzowie na wielbłądach mają najlepszy widok na festiwalową scenę.





TRYBUNA LUDU

Kto nie ma wiebłąda, ten może zająć wygodne miejsce na jednej z wydm stanowiących naturalną trybunę.

pożywi całą swoją rodzinę. Tymczasem, nachylny, przyssany do ciepłego jeszcze zwierzęcia, pije krew z otwartej arterii. Niedaleko, pod namiotami, w cieniu, którego tu jak na lekarstwo, trwają minikoncerty. Z bliska można zobaczyć, jak wygląda kora – skrzyżowanie harfy, gitary i indyjskiego sitaru. Instrument tak skomplikowany, że prawie niemożliwy do opanowania. A jednak! Mistrzem kory jest Toumani Diabaté, który wielokrotnie grał na festiwalu. Pochodzący z rodziny griotów, z tradycją muzykowania sięgającą 71 pokoleń, na koncie ma światową karierę i koncerty z takimi gwiazdami, jak choćby Björk. Ale jego serce bije dla Mali, tak samo jak biło serce nieodżałowanego Ali Farka Touré, malijskiego bluesmana, gitarzysty, który zrobił światową karierę, grając z najlepszymi bluesmanami na wszystkich kontynentach – nie bez powodu zwanego „afrykańskim John Lee Hookerem”. Muzyka Farka Touré jest świadectwem tego, gdzie drzemią korzenie bluesa.

Na festiwalowej scenie ogromne poruszenie zawsze wywołują koncerty Bassekou Kouyaté z piękną żoną – Ami Sacko. Ten czterdziestopięcioletni artysta od 12. roku życia gra na jeli ngoni, niewielkim instrumencie, nieco zbliżonym do banjo. Pełna ekspresji wirtuozeria i przejmujący głos Ami to esencja malijskiej muzyki.

Festiwal Pustyni zmienia spojrzenie na Afrykę. Jakies 4 tysiące lat temu pierwsi grioci – „opowia-

dacze” ruszyli na szlaki Afryki Zachodniej. Byli uszami, oczami, ustami – powiernikami historii i tradycji afrykańskiej kultury. Przez tysiące lat zawód, a raczej misja griota nie zanikła. Do dziś są poważani w afrykańskiej społeczności. Opowieści ich potomków można posłuchać na takich imprezach, jak Festiwal Pustyni. ○

JEDEN DMUCHA, RESZTA SŁUCHA
Dla mieszkańców Afryki śpiew i gra na instrumentach jest czymś zupełnie naturalnym.



Południowe Chiny.
Kolorowy strój kobiety
z plemienia Akha.



FOT. WILLIAM GAGNADOUX



FOT. WILLIAM GAGNADOUX

Kobieta w tradycyjnym stroju
odświętnym, zdobionym francuskimi
piastrami, które są nieodzownych
elementem dekoracji.

Odchodzące plemiona



World Wide Tribes Heritage



FOT. WILLIAM GAGNADOUX

Północny Laos, kobiety wracające do wioski, po całym dniu pracy w polu. Tutaj kobiety noszą jedynie chroniące przed słońcem nakrycie głowy oraz spódnicę. Kompletny strój zakładają tylko zimą lub podczas ważnych uroczystości.

Akha jest górskim plemieniem, które zajmuje się głównie rolnictwem. Akha słynie ze swoich uzdolnień artystycznych. Większość ludzi z tego plemienia jest rozszaniach po małych wioskach w górskich rejonach Chin (gdzie uznawani są za część ludu Hani), w północnym Laosie, północnej Birmie, północnym Wietnamie i północnej Tajlandii.

Żyją głównie w górzystych rejonach, w chatkach z babusa, budowanych na drewnianych palach. Chaty są podzielone na część dla kobiet i dla mężczyzn, która przeznaczona jest również dla gości.

Większość społeczności Akha zamieszkuje odległe regiony i ich istnienie opiera się głównie na gospodarce naturalnej. Żyją w autarchii (forma władzy absolutnej, despotycznej, sprawowanej przez jedną osobę zarządzającą innymi zgodnie z własnym uznaniem), a ich kontakty zewnętrzne są ograniczone. W Laosie srebrne monety piasy, będące pozostałością po Indochinach Francuskich, są bardziej popularną w obiegu monetą, niż obecna waluta laotańska.

Stroje ludów Akha mają różne odcienie niebieskości od bardzo ciemnych, prawie czarnych, do jasnoniebieskich. Farbowane są w indygo, które rośnie najczęściej w pobliżu domostw. Stroje są dekoracyjne, zdobione bardzo kolorowo, często sznurami barwnych koralików. Wiele kobiet nie nosi górnych części garderoby (próbowali to zmienić misjonarze), co ułatwia im karmienie dzieci. Mężczyźni najczęściej noszą marynarki i luźne czarne spodnie. Nieodłącznym atrybutem większości ludzi z plemienia Akha jest nakrycie głowy. Zazwyczaj jest bardzo bogato dekorowane srebrnymi koralikami i monetami. Rodzaj nakrycia głowy świadczy o statusie społecznym, wieku bądź stanie cywilnym.

W Europie są wciąż takie miejsca, do których samo dotarcie jest przygodą. Jedną z takich krain jest Ural, brama pomiędzy Europą a Azją. Ten niezwykły łańcuch górski kusi bezludną przestrzenią, dziewiczą przyrodą i smakiem nieznanego.



URAL PONAD WSZYSTKO

Łukasz Czabanowski



Na postkomunistycznym placu, tuż przy stacji kolejowej odległej Inty, oczekuje już Borys. Jego spowita papierosowym dymem postać niezmiernie nas cieszy. Borys wyświadcza nam przysługę, podwożąc na teren parku narodowego bez wymaganych dokumentów, których koszt zdecydowanie wskazywał na „wielu pośredników”. Już po chwili usadawiamy się na pace potężnego Urala 4320, wsłuchując się w warkot uruchamianego silnika.

A potem droga – choć to wielkie słowo ma określenie dwóch kolein śnieżnych wijących się wśród północnych lasów. Śmiesznie i nienaturalnie wygląda wyboista ścieżka, nad którą pochylają się modrzewie, świerki i karłowate brzozy. Aż dziw bierze, że ta drożyna sama się w swojej zawilosci nie pogubiła, trzymana w ryzach jedynie przez drewniane tyczki wystające ponad śnieżne połacie.

W DOMU NIEWOLI

Zmierzając do kopalni kwarcu, przejeżdżamy przez zamarzną Peczorę. Tę samą rzekę, która w 1940 roku była bramą do Loch-Workuty dla Beaty Obertyńskiej. Polska pisarka i poetka, podczas

wojny aresztowana przez NKWD, była więziona w nieludzkich warunkach między innymi w łagrze Loch-Workuta. W 1942 roku wstąpiła do Armii Andersa i wraz z nią przeszła cały szlak bojowy. Swoje wspomnienia z lat pobytu w obozach pracy spisała we wstrząsającej książce „W domu niewoli”.

Peczora to rzeka o długości 1810 kilometrów. Jej wody niosą jarzmo tysięcy polskich zesłań. Kto przekroczył tę namacalną granicę, ten przestawał istnieć dla świata. To tu powstawały więzienia bez ścian dla takich ludzi jak Mikołaj Samsonowicz, którego tragiczną historię poznało jedynie kilkanaście osób. Jego losy, podobnie jak biografie setek tysięcy innych łagierników, czekają jeszcze na swoje pióro. Ta opowieść, którą odkryliśmy przypadkiem w trakcie przygotowań do naszej wyprawy, stała się dla nas dodatkową inspiracją. Mikołaj Samsonowicz przeżył, bo posiadał niezłomnego ducha i wierzył, że jest to możliwe. Miał także szczęście, bo trafił na rodaka, który mu pomógł. Mikołaj wrócił do Polski po 17 latach zsyłki. Wielu zostało tam jednak na zawsze.



100 LITRÓW NA 100 KM

Na północny Ural nie prowadzą żadne drogi, dlatego bez solidnych pojazdów w tak ciężkim terenie ani rusz.



FOT. LUKASZ CZABANOWSKI

INTERNET ZAMIAST WÓDKI

Tymczasem ciężarówka nieustannie brnie do przodu. Las ustępuje. Wieje przenikliwy mroźny wiatr, od tego momentu nasz nieustanny kompan. Po siedmiu godzinach dojeżdżamy do Żielannaji, kopalni białego, kruchego kwarcu.

Cała osada podzielona jest na dwie części. Pierwszą stanowią kilka opuszczonych, chylących się ku upadkowi drewnianych baraków – smutna pozostałość po początkach wydobywania. Pomieszczenia z resztkami fototapet na ścianach zaśmiecone są pokręconymi krzesłami i wojskowymi pryzmami. Czasem zdarzy się przygnieciony silnikowymi częściami, lampowy telewizor czy wypłowiałe zdjęcie miłośnika wspinaczki górskiej. Obowiązkowo, „koza” i kolekcja butelek po alkoholu. W nowej części zaskakujący, choć surowy luksus. Energoozczędne żarówki, czyste pomieszczenia, zadbana stołówka. Rosją się zmienia, widać to nawet tak daleko od Moskwy. Żadnego alkoholu w budynkach nowej kopalni już nie ma. Za rok będzie za to internet.

ŁAJKA JEST Z NAMI

Śpimy w jednym ze zrujnowanych pomieszczeń. Ogień wygasa w środku nocy, zmuszając nas do

wstania o wczesnym poranku. Rozpoczynamy marsz ku celowi naszej wyprawy – Góry Narodów. Zmrożony śnieg trzeszczy pod ciężarem stawianych kroków. Rzeka Bałbanu, wzdłuż której idziemy, co kilka kilometrów tworzy szerokie rozlewiska zamieniające się w jeziora. Przypomina to ponawlekane na nic korale. Po lewej mijamy Staruchę, szczyt który zwiastuje zmianę charakteru pasma. Od teraz nie będzie to falista powierzchnia, ale góry przypominające rzeźbę Tatry Zachodnie. Tylko szerokie, ukształtne doliny burzą odczucie podobieństwa. Ich płaskie dna ułatwiają transport sprzętu przy pomocy sań. Używamy pulek, ale niestety na dwuosobowe zespoły mamy tylko po jednej sztuce, resztę wyposażenia jesteśmy zmuszeni dźwigać w plecakach. Kończymy marsz zanim zajdzie słońce. Potrzebujemy czasu, by ustawić główny obóz i otoczyć go lodowym murem. Starannie ciosamy zmrożony śnieg, uszczelniając luźne bloki, napinamy odciągi namiotów i zasypujemy fartuchy śnieżne. Pogoda jest rewelacyjna – bezchmurne niebo nie zwiastuje opadów śniegu. Przy dwudziestostopniowym mrozie dokuczliwy staje się jedynie nieustannie wiejący wiatr.

Mamy gościa, jest nim pies łajka, który towarzyszy nam od kopalni kwarcu. Poczciwa, mądra, choć zwirowana psina. W swoim szaleństwie wej-

KOLEJ NA URAL

Inta Górna położona przy linii kolejowej to najlepsza baza wypadowa w góry. Z Moskwy pociągi kursują tutaj trzy razy dziennie. Jeśli prześpisz swój przystanek, możesz obudzić się w Workucie lub nawet w położonych już w Azji Łabytnangach nad rzeką Ob.



FOT. LUASZ CZAJANOWSKI

NA KOGO SZCZĘKA URAL?

Pies, którego nazwaliśmy Ural, najwyraźniej dzieli nasz podziw dla płaskich i szerokich dolin, o zboczach stromych i wysokich, w najwyższych partiach przechodzących w ostre granie.

dzie z nami na każdy ze szczytów! Teraz kuli się w kącie obozowiska, za nic mając zaproszenia do przenocowania w osłoniętym od zamieci przed-sionku namiotu. Iza nadaje mu imię Ural.

NIEZNANA SIŁA

Najwyższym szczytem Uralu i zarazem europejskiej części Rosji (nie licząc spornego Elbrusa) jest Narodnaja. Góra jest technicznie łatwa, przy sprzyjających warunkach nawet raków nie potrzeba, by się na nią wdrapać. To ten szczyt wybraliśmy sobie jako główny cel naszej eskapady. Zdobywamy go po 8 godzinach marszu. Długa, mozolna trasa dzieli ekipę na kilka mniejszych zespołów. Stąd gdy „Dziki” kończy pykać na szczycie fajkę zwycięstwa, niektórzy jeszcze są na podejściu. Wokół rozciąga się morze gór, a na horyzoncie Manaraga kusi postrzępioną, charakterystyczną granią, jak przystało na symbol największego parku narodowego Europy. Jugyd Wa, bo taką nosi nazwę,

to 19 tysięcy kilometrów kwadratowych dziewiczych terenów republiki Komi. To ponad trzydzieści razy więcej niż powierzchnia największego w Polsce Biebrzańskiego Parku Narodowego. A przecież, poza jego granicami dalej rządzi przyroda. Na wschód bezkresy Syberii, na zachód najdziksze zakątki Europy.

Powrót z Narodnej rozpoczynamy, gdy słońce zahacza o horyzont. W miejsce ulotnych trąb powietrznych porywających igiełki białego puchu, wkrada się ciemność rozświetlana gwiazdami i tarczą księżyca w pierwszej kwadrze. W dolinie przebłyskuje światło odbite od powierzchni lodu. Zjawisko to nie sprawia wrażenia naturalnego i mocno rozbudza wyobraźnię. Na myśl przychodzi tajemnica Przełęczu Diatłowa – historia niewyjaśnionej śmierci dziesięciorga studentów, którzy 25 stycznia 1959 roku wyruszyli na wyprawę w kierunku szczytu Otorten (północny Ural). 1 lutego dotarli oni na zbrocze góry Cholat Sjakl, gdzie założyli obóz, aby przeczekać pogarszającą się



ODLUDNE GÓRY

Narodna jest najdalej na wschód wysuniętym szczytem Korony Europy. Dotrzeć tu nie jest łatwo, choć sama góra nie jest najtrudniejsza do zdobycia.

pogodę. Od tamtej pory stracono z nimi kontakt, jak się później okazało – wszyscy zginęli. Ekipa ratunkowa dotarła do miejsca tragedii 26 lutego. Odnaleziono pięć ciał. Uczestnicy umarli z powodu hipotermii po nagłym opuszczeniu obozowiska, cześć była bosa i bez ubrań. Kolejne ciała odnaleziono dopiero 4 maja, jedno miał strzaskaną czaszkę, dwa zmiążdżone klatki piersiowe. Temperatura feralnej nocy wynosiła minus 25 stopni, a śledztwo nie wykazało obecności innych osób na miejscu zdarzenia. Oficjalna przyczyna śmierci członków ekspedycji stwierdziła „działanie nieznannej siły”.

Na szczęście złowrogie złudzenie szybko mija, ustępując miejsca innemu, o wiele bardziej efektownemu. Na niebie rozbłyskuje zorza polarna. Bładozielone tańczące snopy zdają się wypełniać całe północne sklepienie. Błyszczące łuki przenikają się, łączą i znikają, zadziwiając przyglądającą się publiczność. Z czasem spektakl przybiera na sile, intensywnie walcząc z ciemnością nocy. Nic dziwnego, że jeszcze długo po przyjsciu do obozu stoimy na mrozie, łapczywie chłonąc widowisko zmrużonymi oczami. W końcu jednak zmęczenie wygrywa. Czas spać.

DOTKNAĆ GWIAZDY

Przez kilka kolejnych dni prowadzimy ascetyczny tryb życia. Brak luksusów wynagradza towarzystwo przyjaciół i nieustannie pozytywnego psa Urala. Nie ma na co narzekać nasza łajka. Dostaje najsmakowsze kęski, jakie mamy przy sobie – suchą kiełbasę, boczek wędzony, resztki chleba, zmrożonego tuńczyka... Sami pozostajemy przy liofi-

REWOLUCJA NA NIEBIE

Zorza polarna, po rosyjsku aurora, to zjawisko świetlne najłatwiej dające się zaobserwować w okolicach podbiegunowych.



FOT. LUKASZ CZABANOWSKI



ZIMA TRWA DO LATA

Na Uralu śnieg z wyższych partii gór schodzi dopiero z końcem czerwca, by powrócić już pod koniec sierpnia.

lizowanej żywności, pięciominutowych zupkach i czekoladach. Jakże tu jednak odmówić takiemu gościowi? Jak się nie podzielić swoimi „skarbami” z psiną, która kilka godzin wcześniej kulila się w kłębek na szczycie Góry Karpińskiego, gdzie wiał huraganowy wiatr powalający nas na kolana? Razem tam weszliśmy, razem zeszedliśmy. My z czekanami, na dwóch nogach, Ural na czterech. Byleby tylko nie straszyl więcej swoimi niekontrolowanymi zjazdami po oblodzonym stoku. Szczególnie gdy przechodzimy poniżej.

Góra Karpińskiego była dodatkowym celem naszej wyprawy. Do jej zdobycia potrzeba odrobinę więcej umiejętności niż przy wejściu na Narodną. Wskazane jest użycie czekana i raków, do pokonania jest bowiem dwustumetrowa ściana, często pokryta twardym, zbitym śniegiem. Przy załamaniu pogody sytuacja łatwo może wymknąć się spod kontroli. Zgubienie orientacji w takich warunkach,

w czasie osławionej, rosyjskiej zamieci – purgi jest właściwie pewne i bardzo niebezpieczne. Na szczęście, na Karpińskim nie padał śnieg, choć wiał najmocniej. Odnosiliśmy wrażenie, że gwiazda przytwierdzona do metalowego popiersia Karpińskiego wygnie się pod naporem tej siły. Aleksander Karpiński był geologiem, twórcą pierwszej mapy europejskiej części Rosji. Stąd, młotek jako trzon pomnika. Można by pomyśleć, że nie warto tak się silić, by dotknąć kawałka blachy na szczycie. Dla nas była to jednak wzruszająca i radosna chwila. Zrozumie to każdy, kto w kieszeni nosi kompas i odrobinę pasji podróżowania.

Ural pożegnaliśmy z pewnym niedosytem. Jest zbyt potężny, by tak po prostu stwierdzić, że się tam było. Warto tam zajrzeć, choć trudno to zrobić przy jakiegokolwiek okazji. Ten zakątek świata wymaga, by wybrać się tylko dla niego. Po prostu, lubi skupiać na sobie całą uwagę. ○

Husqvarna Tour 2012



Zapraszamy na VI edycję

Jeden z najtrudniejszych, międzynarodowych, średniodystansowych wyścigów psich zaprzęgów...

5-8 stycznia 2012 r., Jakuszyce

k. Szklarskiej Poręby



Dodatkowe informacje na www.husqvarna.pl,
i www.borderrush.com oraz pod numerami
telefonów: 0 795-520-932; 0 601-145-133; 0 601- 611-580



SPONSOR GENERALNY:



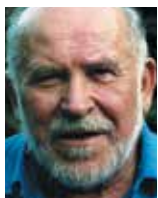
PATRONI HONOROWI:



PATRONAT HONOROWY
MARSZAŁKA
WOJEWÓDZTWA
DOLNOŚLĄSKIEGO

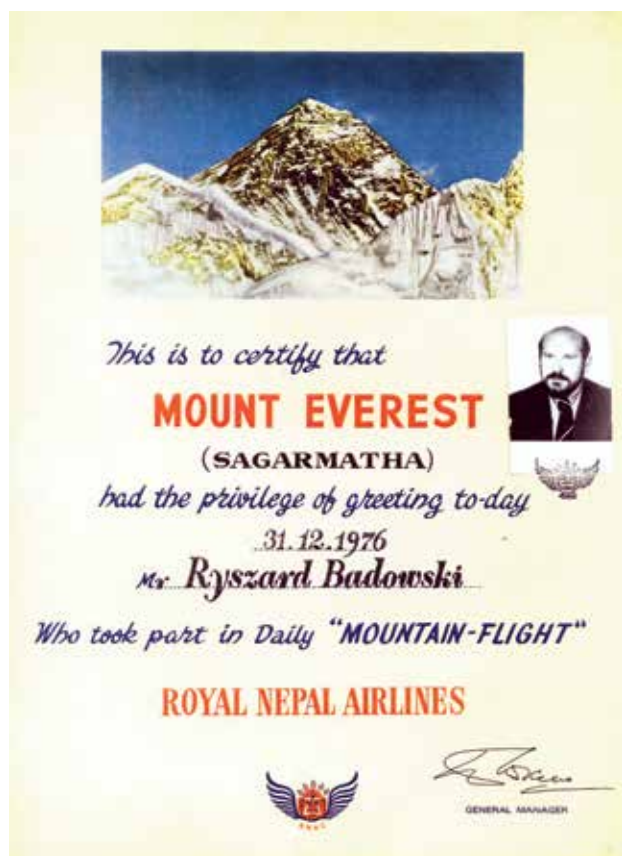
PATRONI MEDIALNI:





Kilkakrotnie zdarzyło mi się żegnać stary rok i witać nowy daleko od kraju. Po raz pierwszy w 1950 roku na Uralu w trzaskającym mrozie, w 1962 u stóp meksykańskiego wulkanu Orizaba w podzwrotnikowym upale, w 1976 na środku Atlantyku – w pobliżu równika, w drodze do Antarktyki. Ale najbardziej niezwykłą przygodę przeżyłem pod koniec tego samego roku w Himalajach. Trafiałem wówczas do Katmandu, gdzie dowiedziałem się, że Nepalskie Królewskie Linie Lotnicze organizują sylwestrowy lot nad Sagarmathą. Tak brzmi nepalska nazwa Mount Everestu.

SYLWESTER NAD EVERESTEM



Był to bardzo udany dla mnie rok, w którym jako pierwszy Polak odwiedziłem wszystkie kontynenty. Przeszedłem morski równikowy chrzest, otrzymałem dyplom przepłynięcia przylądka Horn oraz świadectwo przelotu nad równikiem, wystawione przez Indonezyjskie Linie Lotnicze Garuda. Byłem w połowie podróży dooko-

ła świata. Taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Moje zasoby dewizowe wynosiły wówczas 100 dolarów, równowartość kilkudziesięciu diet dewizowych zarobionych w naukowym rejsie antarktycznym, którego byłem dokumentalistą. Były to dolary o znacznie większej wartości niż dzisiaj. Miałem w kieszeni powrotny bilet lotniczy do kraju. Przelot nad Everestem kosztował 35 dolarów, wraz z dyplomem i drobnym upominkiem od Royal Nepal Airlines.

Zaczął się niefortunnie. Wszystkie bilety na sylwestrowy rejs były wykupione. W biurze Królewskich Linii Lotniczych przy New Road usłyszałem: „Sorry, mister. Spóźnił się pan. Niech pan jednak zajrzy do nas 31 grudnia. Może ktoś nie zjawi się na ten lot”. Niestety, nikt nie zrezygnował. Ale urzędnik w lotniczym mundurze zobaczył, że trzymam w ręku polski paszport, a na ladzie położyłem kamerę filmową. Przyjrzał mi się uważnie i powiedział po polsku: „Dla pana miejsce się znajdzie. Wysadzę jednego z członków japońskiej wyściczki. Dam panu miejsce przy oknie. Szkoda, że wcześniej pan na mnie nie trafił”.

Był to Bishandar, absolwent Wydziału Lotniczego Politechniki Warszawskiej, który w czasie studiów oglądał prowadzony przeze mnie telewizyjny „Klub Sześciu Kontynentów”. O niezawodną potęgę telewizji, przekraczającej wszelkie granice!

MATKA GÓR

U nas Mount Everest już wtedy naprzemiennie nazywany był tybetańską nazwą Czomolungma, ponieważ przez jego szczyt przechodzi granica między Nepalem a Tybetem. Czomolungma oznacza Matkę Gór. Nepalska Sagarmatha dopiero się przyjmowała. Swoje pierwotne imię, upowszechnione na europejskich mapach, góra zawdzięczała brytyjskiemu geodecie i topografowi George’owi Everestowi, który jej wysokość ustalił w 1852 r. Nie śniło mu się wówczas, że można wejść na jej szczyt. Pierwsze wyprawy alpinistyczne w 1921 zakończyły się tragicznie. Dopiero 29 maja 1953 Mount Everest został zdobyty przez nowozelandzkiego himalaistę Edmunda Hillarego i nepalskiego przewodnika górskiego, Szerpę, Norkaya Tenzinga. Pierwszy polski alpinista, Jerzy Peterek, który próbował wspiąć się na szczyt Everestu jako członek wyprawy argentyńskiej, doszedł do wysokości 7980 m n.p.m. W 1971 Jerzy Surdel, uczestniczący w międzynarodowej ekspedycji himalaistycznej, osiągnął 8300 m. Przed 31 grudnia 1976 nikt z Polaków nie stanął na szczycie Everestu i nie ogarnął okiem ziemi z wysokości 8848 m, jaką określano wówczas czubek tej góry. (Amerykańskie pomiary satelitarne przeprowadzone w 1999 skorygowały ją na 8850 m. Nie wiadomo, czy o 2 m pomylił się w połowie XIX w. George Everest, czy też na skutek ruchu płyt tek-



tonicznych pod Półwyspem Indyjskim tak wypiętrzyło się przez sto lat serce Himalajów). O tym wszystkim nie wiedziałem, wsiadając z emocją towarzyszącą niezwyklej przygodzie na pokład turbośmigłowca, porównywalnego klasą z pasażerskim samolotem An-24, latającym wówczas na naszych krajowych liniach.

LOT NAD HIMALAJAMI

Katmandu leży w wysokogórskiej kotlinie. Startowaliśmy więc z wysokości 1350 m n.p.m. Poranek był mglisty, o tej porze roku bywają w Katmandu dotkliwie przymrozki. W dzień można jednak paradować po ulicach w marynarce. Na szczęście, mgły ścieliły się tylko nad miastem. Tuż po starcie z lewej burty samolotu rozciągał się pejzaż zapierający dech w piersiach. Zaczęła się parada najwyższych gór świata ustawionych w szeregu, jak wojsko na przeglądzie. Ośmiotysięcznik Gosainthan, za nim sześciotysięcznik Dorje Lakpa i Phurbu Gyachu, pięcioletysięcznik Chhoba-Bhamare, siedmiotysięcznik Gauri Shankar. A był to dopiero początek podróży. Samolot dopiero nabierał wysokości.

Nad przełęczą Kodori, którą biegnie droga z Katmandu do Lhasy, odstąpił się w całym ogromie monumentalny Tybet. Tymczasem pojawiały się góry coraz wyższe, w tym ośmiotysięcznik Cho Oyu. Ich identyfikację ułatwiał składany kartonik z panoramą Himalajów od Katmandu do Everestu, który otrzymałem wraz z biletem. Można było w powietrzu doksztakć się z geografii.

Gdzieś nad wierzchołkiem Gyanchung Kang (7922 m) stewardesa w nepalskim stroju narodowym zaprosiła mnie do kabiny pilotów. Poczułem znów opiekuńczą protekcję Nepalczyka, który ukończył w Polsce studia. Upredzono mnie tylko, abym nie rozpraszał uwagi pilotów robieniem zdjęć. Góry mogłem filmować do woli.

Jest już 8848 metrów na liczniku wysokości, a my wzbijamy się jeszcze wyżej. Lecimy nieco na południe od szczytu, po jego nepalskiej stronie, aby nie naruszyć granicy powietrznej Chin. Widzę więc

Everest z góry i z profilu. Wydaje mi się, że góra dymi, jak wulkan, ale to tylko porywisty wiatr niesie w bok śnieg, zdmuchnięty ze szczytu. Kręcę kamerą ten widok jak opętany. Nie wiem jeszcze, jak bardzo przydadzą mi się wkrótce te zdjęcia. Nie zastanawiam się wówczas, kto i kiedy po raz pierwszy zobaczył Everest z góry. Do wiem się tego z lektury historii lotnictwa po powrocie do kraju.

PIERWSZE SKRZYDŁA NAD NAJWYŻSZĄ GÓRĄ ŚWIATA

Pierwszym pilotem, który przeleciał nad Himalajami był wojskowy lotnik brytyjski major Tweed. Dokonał tego 4 maja 1919,



co kroniki lotnicze odnotowały jako ważne wydarzenie. Pierwszy lot nad Everestem przeprowadziły dwa brytyjskie samoloty typu „Westland-Wallace”, których załogi podziwiała jako pierwsze Everest z wysokości 13,5 kilometra. Wyprawa ta przygotowywana była przez pół roku, a jej nawigator Blacker tak opisał swoje wrażenia:

„Przeraził nas olbrzymi lodowaty pióropusz, ciągnący strumieniem ze szczytu Everestu na wschód. Był to efekt potężnej wichury, szalejącej wokół szczytu. Przedziwny obraz tej wielkiej góry, której pióropusz czasami na chwilę się skracał, z jej posępnyimi skałami, uwydatniający niepokalaną biel Makalu, był widokiem, które na zawsze zapada w pamięć człowieka.”

Nad Everestem brytyjscy piloci krążyli przez 15 minut. Po dokonaniu pierwszych jego zdjęć z góry, zawrócili. Było to dokładnie w moje imieniny. Miałem wtedy 3 lata, prawdopodobnie mogłem już widzieć pierwszy samolot na moim niebie. W 43 lata później, zupełnie nie świadom tego zbiegu okoliczności, kręciłem pierwsze polskie zdjęcia filmowe Everestu, widzianego z lotu ptaka na niebie nepalskim. Chociaż ptaki tak wysoko w Himalajach nie latają. A nasz orzeł może się wzbicić na 7-8 tysięcy metrów.

SKIEROWANE KU NIEBU OCZY AKASHY

Znakiem Nepalskich Linii Lotniczych jest uskrzydłony bóg Akasha, jedno z wcieleń Sziwy, którego oczy skierowane są ku niebu. Bishandar z całą powagą zapewniał mnie, że Akashy zawdzięczam nasze spotkanie w Katmandu, które zaowocowało sylwestrowym lotem nad Everestem. Kazał mi pokazać pamiątkowy dyplom, jaki stewardesy wręczyły na pokładzie samolotu wszystkim pasażerom przed wylądowaniem na stołecznym lotnisku. Był to bezimienny druk, na którym każdy mógł wpisać swoje nazwisko. W locie trudno było o dopełnienie tej procedury.

Kiedy poskarżyłem się Bishandarowi, że dyplom jest in blanco i nikt mi nie uwierzy w jego autentyczność, zapytał, czy mam w zapasie swoje paszportowe zdjęcie. Sądziłem, że chce je zatrzymać na pamiątkę. Następnego dnia otrzymałem ten sam dyplom po raz wtóry, ale z oficjalnie wypisanym swoim nazwiskiem i fotografią, potwierdzoną pieczęcią Royal Nepal Airlines. Takich dyplomów nikomu wcześniej nie wydawano.

W 1978 na wierzchołku Everestu stała Wanda Rutkiewicz, pierwsza Polka i Europejka, która zdobyła Matkę Gór. Kiedy wróciła do kraju, zaprosiłem ją do „Klubu Sześciu Kontynentów”. Stwierdziłem ze zdumieniem, że w archiwum Telewizji Polskiej nie ma żadnych zdjęć filmowych Himalajów widzianych ze szczytu tej góry. Wanda miała jedynie zdjęcia fotograficzne. Gdy pokazałem jej swoje zdjęcia wykonane kamerą filmową, zaniemówiła: „To byłeś wyżej niż ja?”. Ten żart mogłem zbryć jedynie słowami: „Przypadki chodzą po ludziach”. Już wcale nie żartem Wanda wyjawiała wtedy, co powiedział jej papież Jan Paweł II, gdy wręczyła mu kawałek skały zniesionej ze szczytu Everestu. W rewanżu Ojciec Święty dał jej różaniec, a jego słowa później wielokrotnie cytowano: „Widocznie dobry Pan Bóg chciał, abyśmy jednego dnia zaszli tak wysoko”. Rzeczywiście, Wanda zdobyła Everest w dniu wyboru pierwszego Polaka na Stolicę Piotrową.

Zima nie zaskoczy

Pisząc to jeszcze za oknami redakcji mamy jesień. Ale już niedługo zawita do nas zimowa aura. Będziemy mieli wtedy okazję spróbować swoich sił w narciarstwie klasycznym. Nie potrzebujemy do niego wyciągów ani nartostrad. Wystarczy śnieg i chęci, bo amatorzy biegać mogą na nartach nawet w parku w centrum miasta. Zaawansowani narciarze będą zapewne trenować w górach. Mamy dla jednych i drugich kilka propozycji sprzętowych.



Cena: 144 zł
www.artica.pl

ARCTICA S-167A

Minigogle do narciarstwa klasycznego z ruchomą osłonką z soczewką poliwęglanową z warstwą anti-fog (zapobiegającą parowaniu). Posiadają również wewnętrzną dwuwarstwową gąbkę antyalergiczną. Soczewka ma filtr UV 400 i przepuszczalność światła kat.2 – średnio intensywne światło słoneczne.

Dzięki obniżonej podłodze, aerodynamicznej linii i sportowemu designowi, nowy box dachowy Thule Motion doskonale komponuje się z kształtami współczesnych aut, zapewniając jednocześnie dużą pojemność. Wygodę i bezpieczeństwo montażu zapewnia system Power Click z pokrętkami wyposażonymi we wskaźniki bezpiecznej siły mocowania. Wśród nowych rozwiązań jest także zewnętrzny uchwyt, który ułatwia otwieranie i zamykanie boxu. Box dachowy Thule Motion dostępny jest w czterech rozmiarach i dwóch kolorach z połyskiem: klasycznym czarnym oraz srebrnym.



Cena: 2330 zł
www.taurus.info.pl

THULE MOTION 800

Cena: 189 zł
www.predman.com.pl



CAMELBAK FLASHFLO™

Bardzo uniwersalna torebka biodrowa z bukłakiem na płyn o pojemności 1,3 l (z dożywotnią gwarancją). Izolację utrzymuje temperaturę płynu w bukłaku, co docenimy w mroźny dzień. Komfortowy, stabilny, może służyć do przechowania np. żeli, batonów energetycznych, odtwarzacza MP3, kluczy itp.



ENDURA BAABAA MERINO BASELAYER

Bielizna termalna z naturalnej wełny Merino zapewnia doskonałą izolację cieplną. Materiał ogrzewa ciało nawet gdy jest mokry. Płaskie szwy oraz dopasowany krój poprawiają komfort noszenia. Można ją prać w pralce.

Cena: 199 zł
www.endura.pl



Cena: 339 zł
www.feelfree.pl

FEEL FREE ERA

Wiatroszczelna kurtka, z dobrym systemem wentylacji, wykonana z materiału Softshell. Wyposażona jest w kaptur chowany w kołnierzu oraz kieszenie zapinane na wodoszczelne zamki. Ramiona i łokcie wykonane ze wzmocnionej tkaniny. Mankiety regulowane za pomocą rzepów. Kurtka ma również bardzo przydatne, elastyczne wewnętrzne mankiety z otworem na kciuk.

COBY MP3 MP550

Bardzo lekki i wygodny w użytkowaniu odtwarzacz plików Mp3 i WMA. Wysokiej jakości plastikowa obudowa i praktyczny kształt klipsa czynią produkt idealnym dla osób aktywnych. Zintegrowana pamięć flash ma pojemność 4GB. Stereofoniczne słuchawki w zestawie zapewniają wysoką jakość dźwięku. Wbudowana bateria pozwala na nawet 7 godzin odtwarzania muzyki.



Cena: 100 zł
www.amstrade.eu

POLAR RCX5 GPS

Najnowszy pulsometr Polar RCX5 z innowacyjną funkcją Zone-Optimizer to idealne urządzenie do zaawansowanego treningu. Dostosowuje on automatycznie strefy tętna do aktualnej kondycji, dzięki czemu każda sesja treningowa jest optymalnie dobrana – bez względu na to czy biegasz na nartach, jeździsz na rowerze lub pływasz. Niezwykle mały i lekki sensor GPS G5 (jedynie 34g!) zapewnia precyzyjny pomiar prędkości i dystansu bez zakłóceń – umożliwia także odczyt przebiegu trasy Twojego treningu na mapie. Posiada wbudowany akumulator zapewniający pracę przez 20 godzin.



Cena: 1400 zł
www.sportkonsulting.pl

ZESTAW SPRZĘTU DO NARCIARSTWA BIEGOWEGO:

NARTY MADSHUS INTRASONIC MG

Jako wszechstronny sprzęt do jazdy klasycznej, narty Intrasonic MG oferują świetną przyczepność – i to bez konieczności smarowania ślizgu. Lekkość, nieco mniej agresywne taliowanie i łatwość prowadzenia w każdych warunkach zadowolą wszystkich amatorów narciarstwa biegowego.

Cena: 599 zł
www.greenland.com.pl

BUTY MADSHUS HYPER C

Miękki i wygodny but softshellowy z systemem MemBrain®, zapewniającym odpowiednią oddychalność i wodoodporność. Hyper C to idealne połączenie komfortu i dobrej ceny.

Cena: 599 zł
www.greenland.com.pl



Cena: 149 zł
www.greenland.com.pl



Cena: 179 zł
www.greenland.com.pl

KIJE MADSHUS CT 60

Aluminiowo – karbonowy kij, łączący w sobie trwałość i lekkość konstrukcji.

WIĄZANIA ROTTEFELLA EXCERCISE CLASSIC

Excercise zostały stworzone dla narciarza szukającego wiązań do codziennego użytku. Przyjazny użytkownikowi system wejścia / wyjścia i korzystna cena czynią z Excercise doskonałą ofertę dla amatorów nart biegowych.

FJORD NANSEN

Lekkie rękawiczki wykonane z softshellu. Dzięki elastycznej strukturze materiału doskonale dopasowują się do dłoni, równocześnie chroniąc ją od wiatru i zimna. Wewnętrzna część dłoni i palców wzmocniona skórą ekologiczną.



Cena: 99 zł
www.fjordnansen.pl

NUTREND DE-NUTS

Delikatny w smaku batonik pełen orzechów i miodu, bez konserwantów i kwasów tłuszczowych transnasyconych. Źródło naturalnej energii, witamin i minerałów w 5 różnych smakach. Stanowi idealną przekąskę w czasie lub po aktywności fizycznej.



Cena: 2,90 zł
www.nutrend.pl

ODLO FLY

Spodnie do narciarstwa biegowego wykonane z technicznych materiałów chroniących przed wiatrem a zarazem dobrze „oddychających”. Krój dla nieskrępowanej swobody ruchu, z profilowanymi kolanami. Spodnie mają zamykaną na zamek kieszeń boczną oraz długi zamek boczny na nogawkach.

Cena: 260 zł
www.larix.com.pl



ODLO ELECTRICTY

Ciepła bluza narciarska wykonana z materiału Eyelet Doubleknit ze stylowym nadrukiem w formie plastra miodu. Zamek z patką chroniącą podbródek, płaskie przesunięte szwy oraz dopasowany krój, czynią z niej produkt o wysokim komforcie użytkowania.



Cena: 300 zł
www.larix.com.pl

TRAUMEEL® S

Łagodzi ból i obrzęk oraz redukuje zapalenie w przypadku urazów, drobnych kontuzji (np. stłuczenia, krwiaki, siniaki), naciągnięć i przeciążeń mięśni, więzadeł i ścięgien oraz przy bólach mięśni i stawów. Lek ten działa w oparciu o składniki roślinne i mineralne w sposób odmienny od leków przeciwbólowych i niesteroidowych leków przeciwzapalnych. Jest dobrze tolerowany, można go łączyć z innymi lekami.

Cena: 25 zł
www.heel.pl







Na Zakopiance

Przed wiekami wiódł tędy szlak kupiecki z Krakowa na Węgry. Za cesarza Franciszka I, w latach 1818-1823, wybudowano trakt podkarpacki o znaczeniu wojskowym, mający służyć rozwojowi handlu z Rosją i Turcją. Jego pełna nazwa brzmiała: „Il Galizischen Haupt Commercial oder Carpaten Strasse”. Przy budowie gościńca rząd austriacki zatrudnił włoskich robotników, którzy do prac transportowych wykorzystywali osły przywiezione aż z Sardynii.

Po raz ostatni całkowitą przebudowę drogi wykonano w latach 1931-1939. Już wówczas polscy inżynierowie prowadzący przebudowę gościńca pomyśleli o śmiałych rozwiązaniach, które... pozostają takimi do dziś.

Na zdjęciu z 1935 roku jesienna breja na drodze łączącej Kraków z Zakopanem.



NORWEGIA



VANUATU



WYSPI ZIEŁONEGO PRZYLĄDKA

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak,
Paweł Chara, Marek Kamiński,
Grzegorz Kapla, Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Katarzyna Rojek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17,
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 583 047 397

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN: PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT: BREXPLPWGDA

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak

Nieoceniona pomoc techniczna
Robert Krygier

Produkcja i Prepress
Artur Bury

Druk
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja
TM Media Mirosław Tański

Reklama
Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624

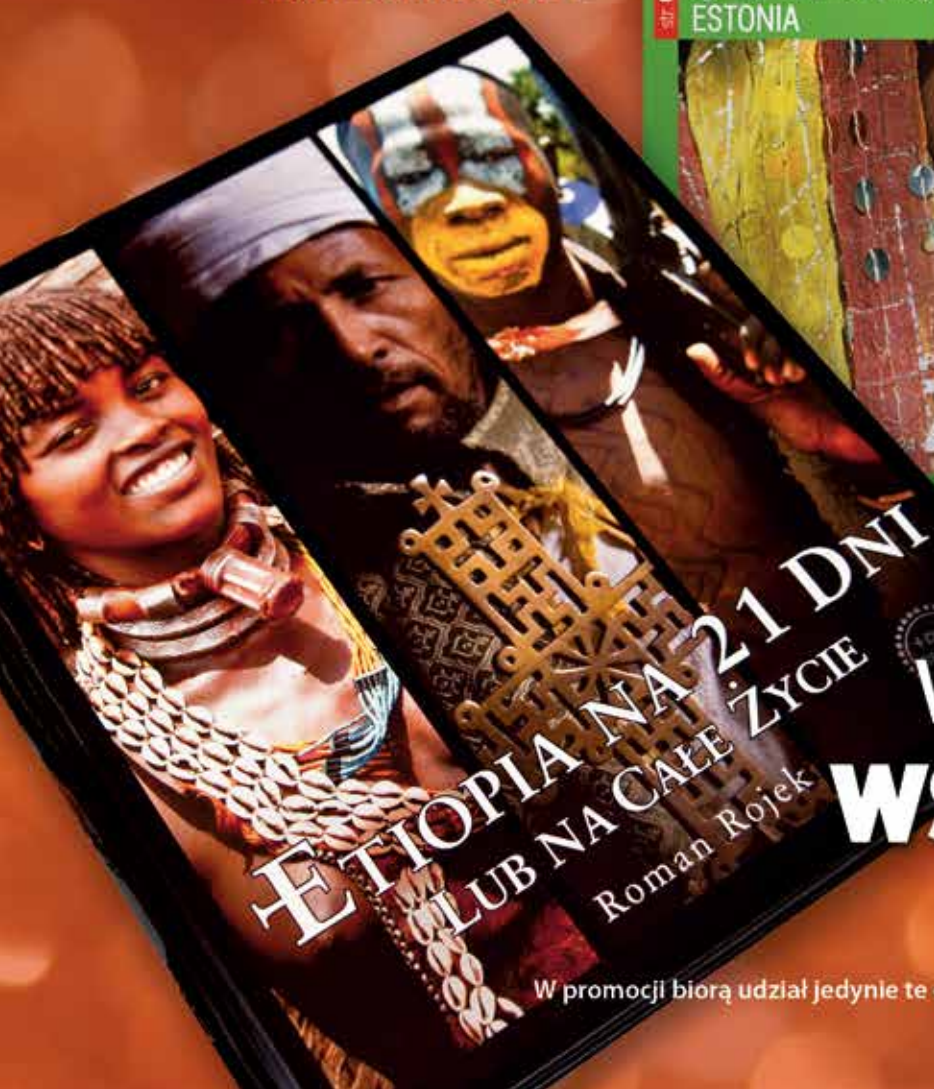
Aleksandra Musiał
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Zamów prenumeratę

Każdy, kto do 15 stycznia 2012 zamówi roczną prenumeratę miesięcznika *Poznaj Świat* w cenie 99 zł, otrzyma bezpłatnie 350-stronicowy, bogato ilustrowany album pt. „Etiopia na 21 dni lub na całe życie” o wartości 99 zł. Prezent ten otrzymają również te osoby, które już wcześniej wykupiły prenumeratę na cały 2012 rok, a do 15 stycznia 2012 przedłużą ją o dodatkowe pół roku w cenie 59,70 zł.



otrzymasz
w prezencie
**wspaniały
album**

W promocji biorą udział jedynie te osoby, które prenumeratę zamówią przez stronę www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.



ADMIRAL[®]
BOATS



PASJA
ELEGANCJA
DYNAMIKA



OCEAN MASTER 630WA

Admiral Boats SA

tel. +48 58 674 34 34
e-mail: biuro@admiralboats.com
www.admiral-boats.com

Pełna temperamentu elegancja i otwarta koncepcja pokładu ukazuje jego sportowe zacięcie. Gama silników od 90 do 150 koni mechanicznych dają gwarancję fascynujących doznań z pływania. Stół teakowy, który w mgnieniu oka zamienia się z obszerny pokład słoneczny oraz liczne schowki tworzą z Ocean Mastera wygodną łódź na wspólne wypady nawet dla 8 osób. Atrytem nowej 630ki jest wygodna koka niezwykle rzadko spotykana w tym typie łodzi.

Długość kadłuba [m]	6,30
Szerokość kadłuba [m]	2,50
Wysokość całkowita [m]	1,85
Zanurzenie kadłuba [m]	0,37
Masa jednostki pusty [kg]	950
Kategoria projektowa CE	C